

Oplata poczt wa uiszczona ryczałtem



Cena 60 groszy

Nr. 31 (83)

MARJA-JEHANNE WIELOPOLSKA: „HOTENTOTYZM LITERACKI“

WIADOMOŚCI LITERACKIE

T Y G O D N I K

Warszawa, Niedziela 2 sierpnia 1925 r.

Rok II

KUPON
„WIADOMOŚCI
LITERACKICH“

Kogo wybralibyśmy
do Akademii Literatury
Polskiej?

Jan Nepomucen Miller

Uwiad kulturalny P. P. S.

Dwadzieścia lat minęło od męczeńskiej śmierci Stefana Okrzei, Montwiła, Kmiecika i tylu innych znanych z imienia i bezimiennych bohaterów ruchu socjalistycznego w Polsce. Wstępne słowa „Róży” Żeromskiego, to rozpaczyliwepytanie, rzucone w głucha, bezechowa przestrzeń, doczekało się odpowiedzi w czasie nierównie szybszym, niż przewidywano w założeniu uczuciowem tego tragicznego pytanika: „Kiedyż uniesiem głów ponad zboczzone wezłowie, kiedyż na ludu łonie spoczniemy w sławy koronie, — któż nam odpowie?”

Dn. 5 lipca b. r. P. P. S. święciła uroczyste dwudziestą rocznicę bohaterkiej śmierci Okrzei. Trudno, zaiste, nie pochylić czoła przed czcigodnymi mogiłami tych bezimiennych, co w najpotworniejszych warunkach życia przynieśli narodowi — jak to niedgdy cudownie określił Żeromski — „deklarację praw świętego Proletariusa”, tych, co przeciw sobie mając wszystko i wszystkich, nie stracili dumnego i straceńczego snu o rycerskiej szpadzie.

Minęło dwadzieścia lat, P. P. S. wysła już dawno z zakamarków życia podziemnego, stała się potężnem i wpływem stronnictwem w niepodległej Polsce. Jedno z haseł, za które umierali Okrzeje i Toczyscy, zdołało się już urzeczywistnić, i odliczwszy, co należy, na rachunek sprzyjających warunków zewnętrznych, przynależa, że jedna z największych zasług dziejowych P. P. S. jest niemal całkowite urzeczywistnienie programu minimalnego, partii, która nigdy nie uprawiała handelku politycznego niepodległości. Uważała ją zawsze za elementarny i tymczasowy naczelny cel dążeń, parla do niej z całym idealizmem romantycznym, straciła bezwzględnością i bohaterstwem zbiorowem.

Naród polski, stawiający obecnie wszędzie pomniki „Nieznanemu Żołnierzowi”, powinien mieć świadomość tego, że ta mogiła kryje również, ach jakże często, obdite od kości nabiją moskiewską, sturtorowane strzepy ciał rewolucjonistów polskich z r. 1905, niezapomnianej daty narodzin nowej proletariackiej duszy polskiej.

Bojownik tego heroicznego okresu w dziejach socjalizmu polskiego nie był jednak po stokroć tak osamotniony w duchu, jak był osamotniony często w życiu. Miał chwile swego wzniołego triumfu, na stokach Cytadeli, na podwórku więziennem pod szubienicą w Łodzi; miał poczucie łączności z bijącym, wiecznie żywym sercem narodu poprzez szpizowe słowo twórcze Żeromskiego i całej plejady poezji rewolucji: Sieroszewskiego, Daniłowskiego, Struga i wielu innych.

To on, ten największy — najgłębiej czujący, który do dzisiejszego dnia nie zmruża nadludzka czujnością wytyczonych oczu, na mogile niezanego żołnierza rewolucji polskiej złożył przedziwne słowa ślubowania:

„Bo tylko poezja polska nie opuści cie, nie zdradzi i nie znieważy, żołnierzu! Ona jedna nie zleknie się twoich snów i twoich czynów. Gdyby nawet sprawa twoja była przegrana, — ona ci wiary dochowa. Ujrzy i spamięta dnie twe i noc, mekę, wysiłek, trud i skon. Złoży ona twą głowę, słuszną żołdackimi kolbami, na wezłowie z najcudowniejszych wierszy, które dla ciebie jednego wymię po latach z przepychu prastarej mowy. Nakryje twój nagi trup bez złotego pasa i czerwonego kontusza, gdy go lud łódzki z pospolitego dołu wielokroć wykopie, żeby mu dać sosnową trumnę, to jedno, co lud dać może, płaszczem dostojenstwa, utkanym z najcudowniejszych barw sztuki. W twoje rece skostniałe i dopiero w śmierci bezsilne włoży złoty swój sen, sen tylu pokoleń młodzieży, sen o rycerskiej szpadzie”.

Te słowa pisał Żeromski w r. 1905. Dwa lata temu, w trzydziestą rocznicę powstania P. P. S., na uroczystej akademii partii Ignacy Daszyński ośmielił się publicznie wytknąć Żeromskiemu współpracę w „Rzeczypospolitej” (w której, nawiasem mówiąc, Żeromski uskarżał się na niedość energiczną działalność agitatorów P. P. S. na Pomorzu i na Mazurach); p. Zygmunt Kisielewski zaś w swojej recenzji z „Przedwiośnia” dziwi się, że Żeromski uczynił bohatera swego komunistą, a nie pepeesowcem. Nie będziemy analizowali tych faktów. Podkreślamy je w każdym razie jako symptomy pewnego zjawiska ogólniejszego, które stanie się właściwą tre-

ścią niniejszych rozważań. Tak, obecnie nie da się ukryć już tego nie tylko wobec wrogów, lecz i sprzymierzeńców: P. P. S. zgubiła busolę życia polskiego, straciła tak żywą ongiś łączność z twórczą kulturą narodu. Zamiast dziwić się odczepieństwu w szeregach własnych powinna sama raczej poważnie zastanowić się nad tem i zdać sobie sprawę z przyczyn tego zjawiska. Możeby mniej miejsca zostało wtedy na skargi i wyrzuty, a więcej na samooskarżenie.

Czyż nie jest rzeczą zastanawiającą, że gdy przed wojną niemal wszyscy najwybitniejsi pisarze jeśli nie formalnie, to sympatjami swemi zupełnie wyraźnie ciążyli do P. P. S. — obecnie stronnictwo to niemal całkowicie pozbawione jest wpływu śród najkulturalniejszej warstwy narodu? Dlaczego pepeesowiec przestał być „poetyczny”?... Spróbujmy z tej strony podość do zagadnienia, które normalnie powinno rozwiązywać się podobno na platformie społeczno-politycznej.

Stracił więc pepeesowiec „poetyczność” swoją wcale nie dlatego, że nie otacza go obecnie aureola męczeństwa, jak za czasów caratu. Oczywiście — ten rodzaj tradycyjnie pojętego poetyzmu spłynąłby obecnie z natury rzeczy całkowicie na komunistów, którzy jednak, wbrew oczekiwaniom, w opinii kulturalnej warstwy społeczeństwa nie mogą wnieść się na piedestał „poetycznego” idealizmu, zbudowanego w swoim czasie dla bohaterów rewolucji. Coś się zmieniło w świadomości zbiorowej. Prześlaliśmy obecnie poetyczność mierzyć miarą romantycznego bohaterstwa na polu bitwy czy pod szubienicą. Rozszerzyła się skala wrażliwości estetycznej, wysubtelniło poczucie twórczości dziejowej. Dowodzono nam niedgdy, że „praca nie hańbi”. Ta filantropijna tolerancja jest dla nas teraz co najmniej bluźnierstwem, jeśli nie głupotą. Pracę pojęta jako sztukę i jako twórczość dziejową, wzniesiliśmy na piedestał życia, uczyniliśmy z niej jedyną godność, prawdę i piękno. Poetyczny w nowoczesnym rozumieniu może być w każdym razie tylko człowiek pracujący, t. zn. przetwarzający życie swoje w fakt kosmicznego znaczenia, podczas gdy P. P. S. obecnie — w okresie spełnienia się jej minimalnego programu — ujawnia maksymalną dozę martwoty, bierności, bezwładu, ospalstwa i niepróznującego próżnowania.

W swoim czasie P. P. S. była stronnictwem, które zdołało wtargnąć we wszystkie dziedzin życia polskiego, wycisnąć piętno swoje na ruch społeczny, polityczny, oświatowy, artystyczny, — zdawało się, niemal, że stronnictwo to stanie się ojcem chrzestnym nowej kultury polskiej. Obecnie zmieniły się warunki. W życiu kulturalnem Polski współczesnej P. P. S. nie odgrywa, niestety, żadnej niemal roli. Straciła, po pierwsze, kontakt z inteligencją polską. Stało się to zapewne nie tylko z winy partii, gdyż przerażona i ogłupiała inteligencja polska pozbawiona jest wogóle wszelkiej orientacji społecznej, bądź co bądź jednak P. P. S. nie czyniła żadnych poważnych usiłowań, by nawiązać na nowo tę utraconą łączność.

Na czele stronnictwa stoją weterani ruchu robotniczego z epoki przedwojennej (to zn. dyluwalnej), którzy, mimo niewątpliwych zasług historycznych, nie mają wyczucia nowego tętna życia. Wszelkich nowych ludzi traktuje się w związku z tem nieufnie i podejrzliwie. Zamiast rozszerzać sieć wpływów i koligacji, stronnictwo kurczy się do gronadki najbliższej wtajemniczonych, czujących się najlepiej w familijnem gronie swoich. Ruch odśrodkowy przeważa wybitnie nad odśrodkowym: żadnej ambicji zdobywczej, żadnej akcji na zewnątrz w wielkim stylu, żadnej ekspansji czy wzlotu.

Aureola męczeństwa, która w swoim czasie starczyła za wszystko i tłumaczyła poniekąd względna abstynencję stronnictwa w ruchu naukowym czy artystycznym, obecnie już zgasa. Stronnictwo, które istnieje trzydziście lat zgóra, mogłoby się zdobyć chyba na wyższy udział w ruchu kulturalnym odrodzonej Polski.

Przodownicy partii są co najwyżej zrzędnymi popularyzatorami, niema między nimi ani jednego myśliciela, czy twórcy w wielkim stylu. Czyż nie zastanawia fakt, że stronnictwo, które ma tak wspaniałą tradycję bojową, nie zdobyło się na żadną twórczą myśl socjalistyczną, że nie może pochwalić się żadnym polskim Sorelem, Beblem, Kautskim, Bernsteinem czy Plechanowem, że poprzestaje tylko na grubej robocie partyjnej, kontentując się całkowicie ochłapami cudzej myśli. Że twórcami w wielkim stylu okazali się ludzie tego tvou, co Żeromski lub Brzozowski, którzy właśnie nie mogli zmieścić się w ramach partii

Widomem świadectwem martwoty kulturalnej stronnictwa jest teraźniejszy stan „Robotnika”. Czy można sobie przedstawić pismo bardziej nudne, jalone, czcze i bezbarwne od tego naczelnego organu największego stronnictwa socjalistycznego w Polsce? Panuje w tem piśmie zasadniczo styl zdzygustowanej guwernantki z wiecznym dąsem na ustach, skłonnością do kataru i obawą przed przeciągiem. Nie rozumiem wcale, jak może zająć robotnika to pismo, kiedy nawet człowiek wychowany na krytyce mniej lub więcej „czystego” rozum zasypia przy drugiej stronie. Nie dziwię się więc wcale, że jeśli udało mi się widzieć kiedy robotnika, czytającego gazetę, to był to z pewnością nie „Robotnik”, lecz „Kurier Czerwony” lub „Express Poranny”. To nie jest bynajmniej zbieg okoliczności. Nad tem należałoby się poważnie zastanowić i użytkować bodaj ten rodzaj zainteresowa proletariatu, wskrzeszając dawną zasadę: parendo vincere.

Poza rzeczowemi względnie artykułami wstępniemi w „Robotniku”, kulturalnemi wycieczkami Henryka Bezmaksiego i Karola Irzykowskiego — nie widać w piśmie żadnej myśli zdobywczej, żadnej czynnej łączności z twórczym życiem polskiem. Dochodzą co najwyżej bezgłośnie echa czegoś, co staje się, rodzi czy rozwija poza obrębem wyznaczonych tu granic. W związku ze słabem tetnem obecnego życia partyjnego w rubryce tej przeważają wspomnienia o dawnych heroicznych czasach. Udział w ruchu artystycznym wyraża się popieraniem konwencjonalnych przeważnie i kłwliwe sentymentalnych wierszydel i okupającej omastą dobrej woli a trafiającej przeważnie kulą w płot krytyki p. Z. Kisielewskiego, twórczości nastrojzonego przeciw wszelkim „nowinkom”, mogącym zaprowadzić na rozdroża drobniomieszczancka cnota.

Czołowy wiersz jednodziółki majowej P.P.S. z 1924 r. zaczyna się od słów:

„Oto nadszedł maj uroczy”... Wyśtańczy ten jeden wiersz tego nieśmiertelnego wiersza z tysiąca innych tego samego typu, by zdać sobie najpełniej sprawę z jakości psychiki współczesnego pepeesowca. Cóż ta poezja ma wspólnego z życiem robotniczym, z nowymi potrzebami ducha i ciała? We wszystkich panuje wyświechtany komunal pasorzytującego snoba. Żadnej twórczości, żadnej inicjatywy, żadnego niepokoju siłającej się werwy czy zbuntowanej mocy...

W poczuciu swojej separacji duchowej i nikłego wpływu kulturalnego na masy stronnictwo przed rokiem założyło Tow. Uniwersytetów Robotniczych, które miało zapobiec postreżonym brakom. Na pierwsze posiedzenie organizacyjne zaproszono sporą garstkę sympatyzujących ze stronnictwem „intelektualistów”, których potraktowano zresztą tylko jako bierną asystę czy bezgłośnie tło. W obawie o wpływy czy diabli wiedza o co — do pracy realnej w towarzystwie nikogo poza wtajemniczonymi nie dopuszczono, obioru zarządu T. U. R. dokonano również poza plecami owych towarzyszy pojętych „organizatorów”, zamknięto się, słowem, znowu w ciasnem kółku pokumanych ze sobą swoich i weteranów. Co T. U. R. obecnie robi — nikt tego nie wie, i w tych warunkach, oczywiście, nikomu nie do tego. Jeśli o to organizatorom towarzystwa chodziło, można powinszować sukcesu. Żałować jednak należy, że w polityce tej pracy mimo tak zwanego zespołu pozostawiają wiele do życzenia, skoro pos. Kazimierz Czapinski, pisząc ogólnie o działalności T. U. R. („Proletariat współczesny a oświata”, „Robotnik”, nr. 50 z 1924 r.), dojrzy w niem „za wiele górnolotnych frazesów, ale bardzo mało realnej inicjatywy i rzeczywistej pracy”. Jest to, naturalnie, naturalny wynik tej pracy w separacie, tego trwożliwego i ślimaczego odgradzania się od wszelkich „przeciągów” zewnętrznych.

Patrzac krytycznym okiem na pracę kulturalną czy postawę psychiczną P. P. S. w chwili obecnej, nie mam najmniejszego zamiaru przeciwstawiania jej — zdobywczy kulturalnych komunizm — I tu i tam panuje pod tym względem ta sama martwota, ta sama zaściankowosc, ten sam indyferentyzm, poparty utajt krajoćwym serwilizmem wobec kultury rosyjskiej.

Równie krańcową obojętnością w stosunku do wszystkich spraw życia kulturalnego w Polsce cechuje „Wyzwolenie”. Śnując z tych faktów wniosek ogólny, należy stwierdzić, że lewica społeczna w Polsce straciła łączność z lewicą kulturalną. Ten fakt zdumiewa najwięcej w stosunku do P. P. S., która ma za sobą historyczną tradycję tego współdziałania i musi chyba miała starań dokładać, by zrywać nawiązujące się automatycznie nici porozumienia.

Sprzecznosc historyczna nie kończy się tutaj na rozluźnieniu stosunków między lewicą społeczną i kulturalną, lecz uwatocznia się w paradoksalnej sytuacji, że uniwersalistyczna dążność, występująca w twórczości np. Kadena-Bandrowskiego, Jasieńskiego, Tuwima, Wittlina, Żegadłowicza, Słonimskiego, Sterna, Kozikowskiego, Broniewskiego, Przybosa i innych — ma wybitnie społeczne zabarwienie. Indywidualistyczna nastrojowość modernizmu prowadziła konsekwentnie do arystokratyzmu duchowego, przeciwstawienia się masie, wzgardliwego stosunku do społeczeństwa. Obecnie, gdy wyrównały się lub przynajmniej dąży do wyrównania te sprzeczności, wytworzyła się sztuczna przepaść, dzieląca obozy z natury rzeczy przeznaczone do współdziałania. Dotychczasowy stan rzeczy jest na rękę tylko reakcji społecznej, która ma ułatwiony żer na smietnisku polskiego życia kulturalnego. Czyż nie znajdziemy wyjścia z tego zakłętego koła bezsensu i niedorzeczności?...

Zbyt żywe są dążności w nowej sztuce polskiej do wyjścia „poza sztukę”, by można było nadal trwać w tem odosobnieniu. Nie znajdując oparcia w zatechłej separacie teraźniejszej lewicy społecznej, nowa sztuka będzie musiała stworzyć sobie sama stronnictwo polityczne, nową „partję pracy”, pojętą jako twórczość, która obejmie wszystkie sztuki żywe — od brukarstwa, budownictwa do poezji i muzyki — i dążyć będzie do ustroju „rad”, kolektywnej współpracy związków i zrzeszeń w hierarchicznym układzie społecznego organizmu, którego wolą pokieruje sztuka.

Wiersze

Z przygotowywanego obecnie do druku tomu poezji Juliana Wołoszynowskiego p. t. „Okulary” wyjmujemy kilka utworów.

ROCZNICA

Koloru wody podłoga, koloru powietrza ściany,
klęczy w kościółku dziewczyna, niebieskie grają organy.

Podłoga zakwita jak łąka, kościół podobny do sadu,
muzyka podobna do wody, organy do wodospadu.

Dziewczyna ma ciemne warkocze, anioł ma skrzydła sokoła —
łączy się dwoje oddechów w drewnianej skrzyni kościoła.

Pachną sosnowe im ściany, nasiąkłe kadzidłem poranka,
jego — muzyka szumiąca, jej — kwiaty wędzące u wianka.

Nie chodziła dziewczyna na łąki, nie chodziła do wiśniowych sadów,
trawa zmięta wiosennym deszczem, wiśnie pozbijane od gradów.

Zieleniły się mięta, tatarak, czerwieniły kalina i głogi,
gdy idąca wstąpiła do kościółka na skraju drogi

Nie zastała opasłego organisty, milczą pedały i miechy,
tylko anioł gra na organach wszystkie wiosenne grzechy.

MAJÓWKA

W pierwsze wiosenne święto, gdzie mała rzeczułka płynie,
do sosnowego lasku, w którym wietrzyk gra na okarynie —

Gdzie po obgryzionej korze mrowią się pracowite mrówki,
pojechać na ciepłą ziemię pierwszej wiosennej majówki!

Leżąc na wznak, mrużąc oczy, tęczę się ma pod powieką.
Po wierzchołkach w słońcu sosen odpływa niebo daleko.

Różne widać obrazki, poczynając od błękitnego horyzontu,
krajobrazu szyszkowego lasu, który jest rudy od frontu —

W środku koloru piaskowego, wyścielony powietrzem i pajęczyną —
kończąc na ludziach miejskich z butelką i mandoliną.

Pod wieczór skrada się wiatr, przynosząc zapach perfumy,
jakiś zwiany welon na trawie, jakieś rozmów zgubione szumy.

Jak szmer rzeczułki po kamykach zacicha dzień majowy —
i płynie cichy i już nie dotyka leżącej w zmierzchu głowy.

KATASTROFA

Druty nad domkiem telegrafu dzielą niebo na dwa kolory.
Połowa jest księżycowa na linii stalowej toru.

Półowa głęboka i ciemna, jak przepaść bez dna i bez echa.
Mieszkamy pomiędzy niemi, to znaczy pośrodku nieba.

Codziennie odjeżdża słońce na dachach pociągów nieznanych,
co noc laskoczą syreny przeciągłym gwizdem tym samym.

Odwracamy żelazne sztaby, rozsuwamy, jak kolana, szyny,
zwarłe w zazdrośnem spojeniu, jak nogi śpiące dziewczyny.

Pałac zielone światelka, dajemy podróżnym nadzieję,
że most z nad wód nie ustąpił, chociaż od mgły się chwieje.

Że szyny się nie rozwiodyły, związane stulą narzędzi,
choć Bóg ich nocą nie widzi pod kołami wagonów w pędzie.

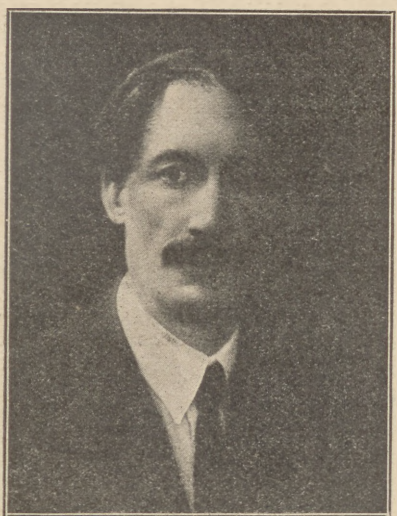
Lecz bywa, że budzi przecucie w drewniance ze snu dróżnika,
zapala nocną latarkę i drzwi z pod klucza odmyka.

Minuta przespana marzenia jest mściwa, nieubлагana,
próżno podnosić sygnały, tu trzeba paść na kolana.

Czekamy na cud, to zwrotnica o niepoznanej budowie,
jest jakiś dróżnik pod maską w kołpaku nieba na głowie.

Nowa powieść Barbusse'a

Zbyt poważnym pisarzem jest Henryk Barbusse, żeby, biorąc do ręki nową jego książkę (zapowiadana jako historia komunizmu w formie powieści), można się było obawiać wulgarności tendencji. Jako łatwiej jest stwierdzić, że tendencyjność tego dwutomowego dzieła jest nikła, nie większa, niż wszystkich prawie powieści o podkładzie socjologicznym. Natomiast, natomiast — kto nazwał tę książkę historią komunizmu? Jest ona wszystkim, tylko nie tem właśnie, za co uchodzi i za co sam autor radby ją cenić. Jakże często szczerzy artysta albo i poprostu szczerzy człowiek świadczy sam przeciw sobie. Przypomina się historia Głęba



HENRYK BARBUSSE

Uspienskiego, który pragnął swymi działaniami dokonać misji rozpowszechniania ideałów rosyjskiej „społnoty wioskowej”, a mocą szczeroci i bezkompromisowej prawdy dał strasliwy i ponury obraz wsi rosyjskiej.

Bilans ideowy nowej książki Barbusse'a nie prowadzi tak daleko, nie jest antykomunistyczny. Jest po prostu akomunistyczny. Jest to książka o cierpieniu ludzkim, ale zwłaszcza o udręczeniu jednostki. Że te cierpienia mają niejednokrotnie podłoże społeczne, jest rzeczą ważną, ale nie pierwszorzędną. Na pierwszym planie jest chorobliwie wyolbrzymiony indywidualizm.

Fabula powieści rozsuwa się na dwa wątki: jeden, który można nazwać retrospektywno — historycznym, drugi — psychologiczno — erotycznym. Ten drugi wątek miał służyć za ozdobną tace, na której autor chciał nam podać ciężki rachunek oczywistości, wynikających z „wiecznego zmiennego toku zjawisk”, jak sam zapowiada w przedmowie.

Tymczasem wynikł chaos i gruntowne nieporozumienie, zwłaszcza że wszystko pokrywa mądrą nieustanną i chorobliwie podnieconego człowieka. Tęgo rodzaju książki nie można pisać nerwami, bez narażenia na szwank jej wartości myślowej. Nikt bowiem nie myśli zaprzeczać, że szukanie „rozległych linii symfonicznych” może być rzeczą ciekawą, chociaż niebezpieczną, ale wartą trudu. Trudno się też nie zgodzić z Barbussem, że podłożem lwiej części nie-szczęśliwych ludzi jest nierówność społeczna. Idąc jednak jego torem myślowym, dochodzi się do bardzo pesymistycznych wniosków. Cała książka jest monotonna, pozbawiona artystycznej siły, opisem uścisku jednego człowieka czy grup społecznych przez drugie, i to do ustroju pierwotnego poczynając, na współczesnym skończywszy.

A na koniec... biedny wysłany apel do ludzkości, żeby było inaczej. Książka, która według założeń autora mogła i powinna być historią walki i buntu, stała się beznadziejnym zawołaniem słabości i uścisku. Jak tendencja, to tendencja. Dajcie nam pełną, brutalną, prężną — credo, zapatrzonej tylko w siebie i w nic innego, młodej idei społecznej, intelektualnej czy artystycznej. Tendencja, jako wyraz ideowo-psychiczny jednostki lub grupy, która działa i dlatego musi bez zastrzeżeń wierzyć w to, co robi, może być piękna. Tendencja — mój znośny elaborat mózgowy jest prawie zawsze zimna i bezkrytyczna, a jeżeli głosi ją człowiek szczerzy, może ona cicha-cichą zwrócić swe ostrze przeciw niemu. Książka Barbusse'a, która bez wątpienia miała walczącym o lepszą przyszłość dodać siły i rozpędu, jest jedną z najmłodszych i najbardziej niebezpiecznych książek, jakie znam. Skąd u takiego schorowanego, wyczerpanego nerwowo człowieka, taka ufnosć i wiara w przyszłość, czy stąd, że w ciągu kilkunastu lat, według własnego jego zdania, ani na jotę się nie poprawił? Ta nieuczynność, według istotnych konsekwencji jego myślenia, ufnosć może mieć podłoże w udułowieniu irracjonalności jednostki, jest jednak niedopuszczalna w dziele artystycznym, od którego wymagamy konsekwencji myślowej.

W cała to chybiona struktura ideowa wpłynie jest nieciekawą historią rozdwojenia psychicznego młodego poety, który żyje życiem podwójnym: na jawie i we śnie; stan zaś jego senny jest przypomnieniem przeobrażeń metafizycznych, którym w ciągu wieków podlegały motywy ograny w literaturze, a ostatnio i w kinie. Całość nauca, choć w nawale współczesnej bezideowej literatury zasługująca na uwagę, pomimo piękności wewnętrznej, która unicestwia całą strukturę. Przypomina się „Wyspa Pingwinów”, która, lubo pisana znacznie mniej „poważnie”, gruntowniej może spełnić misję zorientowania się w „szerokich liniach symfonicznych” przeciwnych ustrojów społecznych.

Irena Krzywicka.

Marja-Jehanne Wielopolska

Hotentotyzm literacki

Swego czasu zainicjował p. Adam Grzymała — Siedlecki pewną metodę literacką, niepraktykowaną u nas, mianowicie jawnej amerykańskiej autoreklamy. Przed każdą swoją sztuką, wystawioną czy to w Warszawie czy w Poznaniu, zamieszczał on treściwe o niej wywiady i objaśnienia. Były rozprawy naukowe o wartości językowej „Popasu Króla Jegomości”, były ciche hymny o wartości narodowej „Spadkobiercy” i dyskretny dyg przed fredestwem „Sublokatorów”. Sprawy satelity szły za nim krok w krok i wtórowały enuncjacjom i reklamie. To wszystko razem dostało już nawet etykietę ogólną: sublokatorstwo literackie.

Pan Edward Ligocki upodobał sobie szczególnie to sublokatorstwo, ale poszedł znacznie dalej, niż p. Grzymała — Siedlecki, poszedł tak daleko w autoreklamę, że zaiste żadna pasta do obuwia i żaden środek przeciw piegom nie był tak zalecany, nawet w Ameryce, jak jego np. powieść ostatnia, drukowana w odcinkach „Rzeczypospolitej”.

Powieść ta, ani gorsza, ani lepsza od innych jego powieści, jest mniej nudna, bo grająca na aktualności. Nic się tak szybko nie segreguje jak talent w literaturze. Wiemy już, czego mamy szukać w „Radyminie” p. Ligockiego, czy w „Złoty tronie” Breszkowskiego, czy w „Zdefraudowanych milionach” Junoszy — Gzowskiego. Wiemy, że p. Ligocki uważa, iż naród kształcić można tylko za pomocą kalendarzowego stylu, z gruba ciosana anegdotą i t. zw. „łopatą w głowę”. Nie ma twórczości, jest tylko sielska pedagogia. Subtelnych metod pisarskich takiego „Przedwiośnia” ani rozumie, ani przezuwa zgoda ich niepokalaną wielkość. Do tej sekcji literackiej podobało się zajrzeć i Weyssenhoffowi dwiema ostatnimi powieściami, tylko że w powyższej smutnej literaturze nikt nie uprawia hotentotyzmu p. Ligockiego. Któż zresztą ma zwrócić uwagę zarozumiałemu młodzikowi? W „Rzeczypospolitej” niema nikogo, koby mu powiedział: „Stój! to jest niepraktykowane! Ośmieszasz siebie i swoją gazetę!” Zdobyła „Rzeczypospolita” z trudem jakąś jedną osobistość, „zasłyszana” w literaturze, tedy, niezmiennie zadowolona, daje jej hasać i na czubku głowy stawia i pisać z tupetem zdumiewającym.

Powieść p. Ligockiego wyż wymienioną p. t. „Gdyby pod Radyminem...” jest, jako pomysł Eisenbahnlektury, sensacyjny, zupełnie dobry. Przeszedł nawet sensacyjnością „Tredowata”, i nikby nie przeciw temu nie miał, że p. Ligocki w ciężkich obecnych czasach odłożył na bok marzenie o czystych laurach, a sięgnął po wnętrze sakiewki. Jest welin, na którym się rozświetla magię inkunabułów, i jest papier, od którego się odcina kupony. Trudno. Cóż nam to może szkodzić, że p. Ligocki woli kupony od laurów. Ale jeżeli ktoś w ordynarny, w niespotykany nigdzie, w hałaśliwy, nahałny sposób narzuca swoją osobę społeczeństwu, jeżeli czyni to w dodatku w sposób tak beznadziejnie niezadany i od siekier, to nic dziwnego, że tu i ówdzie ktoś się otrząśnie i powie: dość!

Zaczęła się najpierw reklama redakcyjna, „Rozpoczęła się w tych dniach powieść, wspaniała, jedyna, niezrównana” i t. d. Ledwośmy się o tem dowiedzieli, już się druk rozpoczął, a równolegle jęły

się co drugi, trzeci dzień ukazywać listy, rzekomo z rąk tych odcinków masowo otrzymywane komentarze i odsyłacze. I jak tandetnie, jak niezgrabnie ta korespondencja cała jest fabrykowana!!! Zupenie jak swego czasu listy żydowskie w „Kurjerze Poznańskim”. Oto przykład, jeden z wielu. Czytamy list jakiejś wzbudzonej do ostatnich granic damy, która oświadcza p. Ligockiemu, że nerwy jej znieść nie mogą jego opisów tortury bolszewickiej, czczycząjek i t. d. Myślę sobie: czy ta dama mente captus? bo przecież w żadnym odcinku ani słowa o czczycząjek i torturach. Pan Ligocki zbywa damę raczej drwiąco i daje jej do zrozumienia, że jest histeryczna, bo właśnie takie obrazy krwiożerczości bolszewickiej ogromnie umoralnia społeczeństwo polskie i na wielki od komunizmu odprysnęła. Wobec takich horoskopów, coż znaczą historyczne ataki jakiejś damy. Ciągła dumam nad tem, o jakich torturach i kaźniach mówi ta rozindyczona para? I nagle, w piątym czy szóstym po tych listach feljetonie, sprawa się wyjaśnia. Jest czczycząjek! są tortury, komisarze, katy! Całe nieścieście tylko, że niedopilnowano... kolejni komentarze i odcinki, i komentarz wyprzedził o kilka dni feljeton, przez co grubość szwów, którym szyć p. Ligocki swoją autoreklamę, wystąpiła zbyt jaskrawo.

Te komentarze padają codziennie coraz bajeczniejszych tytułach i treści. Np. „Popłoch wśród bolszewików!”... Sowietów protestują u rządu polskiego przeciw „Radyminowi” p. Ligockiego... Trochę ofiarowuje do wymiany 15.000 Polaków skazanych na śmierć w zamian za wydanie jednego p. Ligockiego. Prosi jednakowoż u silnie, aby p. Ligockiego nie odwoził Muraszko do granicy... Prezydent Wojciechowski przydzielił stały patrol osobie p. Ligockiego, albowiem Hotel Rzymyński na stał się siedzibą i szpiegów, upelnomocnionych do sprzątnięcia p. Ligockiego z tego padolu placu i lichej powieści. Sam Dzierżyński ponoć bawi w Warszawie i krąży dookoła redakcji „Rzeczypospolitej”. Niezależnie od tego wszystkich Sowietów zapytują, czy rząd polski zezwoli p. Ligockiemu na przyjęcie Piesioramiennego Gwiazdy Laurowej Sowickiej za napisanie w wyżej wymienionej powieści bolszewickiego hymnu, najpiękniejszego jaki kiedykolwiek kraj jaki posiadał... doloj z Majakowskim! i t. d. W innym numerze zamieścił skromnie p. Ligocki list generała Roja, tym razem autentyczny, który protestuje przeciw oszczerstwom, jakoby miał on, generał Roja, na takim a takim odcinku bojowym (nie feljetonowym) uciekać w popłochu. Nigdy nie uciekał, przeciwnie, i t. d.

Pan Ligocki, z układnym usmiechem i lojalnością, zamieszcza jego list i tłumaczy protekcyjnie gen. Roja, że on się zna tylko na literaturze, co p. Ligocki na militermie, że skoro powieść jest zatytułowana „powieść fantastyczna”, to tem samem ma jej autor prawo pisać co chce i wymyślać każdemu ile się zmieści. Mógł napisać nawet, że generał Roja przeszedł do bolszewików za cenę dwóch milionów funtów sterlingów, wraz z całą swoją rodziną, i że uderzył na tyły naszego wojska, na co gen. Roja, o ile jest Europejczykiem i słyszał cośkolwiek o prawach autorskich, powinien milczeć. Słowem,

zmył, jak się to mówi, głowę generałowi Roja, że tak prostych rzeczy nie rozumie, co wynika zawsze z tego, gdy się w armji panoszą samouki, fachowo niewykształceni. Generał Roja zamilkł oszołomiony i zawstydzony własną ignorancją — ja jednakowoż osmielałem się zapytać, co by powiedział p. Ligocki na następujące artystyczne opisy w fantastycznej mojej powieści p. t. „Gdyby pod Rarańcza...”.

Generał Józef Haller, Komisarnopł austriacki, przybywa z wachmistrzem Edwardem Ligockim, który walczył proch o tyle, o ile zasypywał nim bruliony swoich o generale poematów, do panny Elżbiety Zaleskiej, dzisiejszej Dorozyńskiej. Panna Elżbieta, kresowa patriotka, ogromnie się dziwi, że mówi między sobą tylko po niemiecku. Generał nie był się jeszcze nauczył polskiego języka, a p. Ligocki francuskiego. Porozumienie było zatem całkiem utrudnione. Mimo to zdolała zrozumieć, że te przekłete polskie Legionäre zmusiły bagietami generała Hallera, aby święty sztandar austriacki opuścił, zdezerterował z c. k. armji i rzucił się w meły narodowo — powstańcze wojażki. Generał wysłał jednego brata panny Zaleskiej z listem do cesarza Karola, przepraszając za niesubordynację, żarzącą o lojalności, „ale że vis major...” drugiego zaś brata do Rady Regencyjnej do Warszawy. Tu następuje komplikacja sensacyjna — bracia pomylili marszrute. Ten z listem do cesarza Karola przybył do Warszawy i wręczył go (list) arcybiskupowi Kakowskiemu, a tamten przybył do Wiednia, gdzie go pośpiesznie odprowadzono na odwach. Bardzo zabawne i barwne następują opisy, tortury, głód, kajdany, wzywiska, amory. Cesarzowa Zytka zakochuje się na szczęście w młodym kresowcu i uwalnia go z więzienia, zostawiając mu własny płaszcz koronacyjny z gronostajem, aby się po nim zeszwał z baszty więziennej i t. d. A tymczasem gen. Haller i wachmistrz Ligocki plądrują rzetelnie dwór panią kresową. Nawet ostatni jej krzyżyk złoty pamiątkowy (po matce chrześnej) wydiera generał, a gdy panią kresową za to protestuje, mianuje ją chorążym wojsk polskich, aby ją udobrościć. Ten akt oburza wachmistrza Ligockiego — dlaczego on ma być niższą szarżą od tej landpomeranicy? To też zbalamuciwszy nieletnią kuzynkę pannę Zaleską, ucieka z nią w niewiadomym kierunku. Dopiero w Paryżu spotyka się z generałem.

Gdzież ty był tak długo, kiedy ciebie nie było? — pyta surowo generał i patrzy na złoty zegarek, na którym widnieją pięknie cyzelowane herb rodziny Zaleskich... i t. d. i t. d.

Coby p. Ligocki powiedział na taką „fantastyczną” powieść? A zdaje mi się, że równie ubliżające jest dla jednego generała, gdy się o nim pisze pleno tytuło, że wyrwał przed nieprzyjacielem, ile miał się w nogach, co dla drugiego, gdy się o nim powie, że obrabował z zegarków dwór gościnny. Jeżeli p. Ligocki tego nie rozumie i nie wie, że nawet fantazja powinna mieć swoje granice, to bardzo smutno. Radzę więc ukrócić nieco wybrki „fantazji” i polać zimną wodą te feljetyony i tak pełne wody.

Ale wszystko to co wyżej — to były blałostki. Można je nazwać blałnowa-

nem rozpanoszonego młodzika, nietaktem, głupotą, jak kto chce, ale przychodzą, niestety, w „Radyminie” p. Ligockiego rzeczy gorsze, premedytowane, rzeczy przynoszące hańbę Polakowi i człowiekowi, mającemu pretensje należne do grona polskich literatów. Oto p. Ligocki, zawarłszy pakt wieczysty z demagogią, z aktualnością, z plotkarstwem bieżącego dnia, stawia się, bez wielkiego trudu zresztą, zwierciadłem polskiej przeciętności, wyczuł dawno, że powiał teraz wiatr nieprzyjajny na autora „Wiatru od morza”. Zmówiła się czarna mafia, nieznosząca nieprzeciętności, aby pogniebić ten cud, ten wspaniały hejał polskiego ducha, aby wyrwać serce temu dzwonowi, tchem gigantycznym rozkołysanemu nad płaszczyzną własnego narodu. A że mody jest obecnie u andrusów okrzyk „łapaj bolszewika!” — więc tak się krzyczy obecnie, postępując z trudem za Żeromskim. Krzyczał tak i p. Ligocki, nie mogąc spać z patologicznego żalu, że nawet przedpokoje Żeromskiego są ma wielki wieków niedostępne, ale było mu tego jeszcze za mało: trzeba uwiecznić andrusostwo — trzeba hotentoterję się pochwalić przed szerszym gronem przyjaciół. Więc — gdy sprowadza w swoim „Radyminie” bolszewików do Warszawy — gdy opisuje w subtelny sposób swoją waleczną ofiarnosć dla „ukołchanego generała”, rannego w bliżej nieokreślonej części ciała i przez to zmuszonego do pozostania w stolicy, choć miał sto razy czas uciec — gdy opisuje z trywialną lubieżnością amory swoje z komisarką sowiecką (wiadomo! nie oprze mu się żadna dziewczyna!) „nie wydam cię, krocie, polskim władzom, gdy wrócą, bo przecież spałem z tobą w jednym łóżku...” — gdy szablonowo opisuje wywołki bolszewickie, daje im imiona: czy wiecie jakie!?!?

Oto: Rafał... oto Olbromski... no tak! Przecież nikt tak nie jest kochany, czczony i uwielbiany w Bolszewji, jak „towarzysz” Stefan Żeromski! Dyskretnie to podsuwa p. Ligocki między wierszami. W dalszych feljetonach dowiemy się, że najstarszy syn Trockiego nazywa się Stefan, drugi Judym (co zresztą pochodzi od „Jud”), a synowi Dzierżyńskiego byłoby Józef, gdyby generał Haller nie był też Józefem, jak Poniatowski, jak Piłsudski...

Pisarze rosyjscy stanęli w obronie Puszki, gdy Żeromski zarzucił mu mimochodem (i inaczej niż pojeł) pornografię — ciekawam, kto z polskich pisarzy stanie w obronie Żeromskiego, gdy śmie go z za plotu obczekiwac p. Ligocki?

Żeby pamiętać ten ostatni o przysłówiu murzynskim: że „czy król ma rację, czy nie ma racji, to król ma zawsze rację...” Miną nasze racje, moja i pańska, panie Ligocki, a racja Żeromskiego zostanie, choćbyś pan wszystkich bolszewików i wszystkich bohaterów swoich powieści i wszystkie psy podwórzowe nazwał Jego imieniem.

A jeżeli stało się tak, że mamy do wyboru albo bolszewizm w Polsce, albo panoszenie się wyłącznie takiej literatury, jak „Radymin”, jak „Błękity Donkiszot”, jak „Sen na Pałatyńcu”, to — już lepiej bolszewizm! Tak czy tak bowiem, przestalibyśmy istnieć kulturalnie.

Kronika ilustrowana

JAN WIATRO
napisał świetną powieść p. t. „Burek”JULIAN PRZYBÓS
zadebiutował szczęśliwie tomem wierszy p. t. „Smutny”JULIAN WOŁOSZYŃSKI
autor interesującego zbioru poezji p. t. „Okulary”

Polska zagranicą

W „Les Nouvelles Littéraires” z dn. 11 lipca b. r. znajdujemy znamienne uwagi o St. Wyspiańskim. Redaktor p. F. Lefèvre w wywiadzie z Henrykiem Pourrat cytując w związku z poglądem autora na konieczność powrotu literatury do źródeł twórczości ludowej, jego zdanie o St. Wyspiańskim. Pan H. Pourrat uważa Wyspiańskiego za idealny przykład możliwości odrodzenia literatury na fundamentach twórczości ludowej, dzięki której genialny dramaturg polski ujął istotną konstrukcję teatru nowoczesnego i stworzył oczekiwany przez Mickiewicza dramat słowiański, obejmujący cały wszechświat, na wzór misterjów średniowiecza.

W wychodzącym w Bellinzie dzienniku włoskim „Dovere” znajdujemy artykuł o pierwszym tomie francuskiego wydania „Chłopów”; autor, wspominając o powieściach chłopskich Balzaca, Zoli, Kellera i Hardy’ego, na pierwszym miejscu stawia dzieło polskiego pisarza.

Wychodzący w Bombaju „Indian Daily Mail” poświęca kilkusetwierszowy artykuł, zaczerpnięty z prasy szwedzkiej, Wł. St. Reymontowi; charakterystykę tę poprzedza umiejętnie przeprowadzone porównanie twórczości Reymonta i Żeromskiego.

„Comodia” poświęca w numerze z dn. 8 czerwca b. r. całą stronę festiwalowi muzyki polskiej w Paryżu, w numerze z dn. 9 czerwca umieszcza wywiad z p. Jerzym Warchałowskim w sprawie udziału Polski w międzynarodowej wystawie sztuki dekoracyjnej.

N o t a t k i

Afisz wyborczy Aleksandra Dumas.

W czasie wyborów w r. 1848 Paryżanie odczytywali na rogach ulic afisze p. Aleksandra Dumas (ojca) treści następujące:

— „Robotnicy!
Postawiłem moją kandydaturę. Głosujcie na mnie.

Oto moje tytuły wyborcze.
Potwierdzając 6 lat nauki, 4 lata notariatu i 1 rok pracy urzędniczej, pracowałem 20 lat, po 10 godzin na dobę, czyli 73.000 godzin.

Przez 20 lat napisałem 400 tomów i 35 dramatów.

400 tomów, po 4.000 egzemplarzy i po 5 fr. każdy, dały w sumie 11.853.600 fr.

35 dramatów, granych przeciętnie po 100 razy, dały 6.360.000 franków.

Jeżeli określić zarobek człowieka na 3 franki dziennie, okaże się, że moje książki zapewniły w ciągu 20 lat środki utrzymania 692 osobom: zercom, drukarzom, introligatorom, księgarzom, rysownikom i t. d.

Moje dramaty utrzymywały przez 10 lat w Paryżu 346 osób: dyrektorów, aktorów, dekoratorów, kostiumerów, woźnych, strażaków, dostawców drzewa, krawców, muzykantów, kontrolerów, fryzjerów i t. d.

Potrącając te cyfry ze względu na prowincję, otrzymamy 1.041 osobę.

Dodając do tego szefów klaki, właścicieli remiz, dorożkarzy i t. d.

Dramaty i książki zabezpieczyły byt 2.160 osobom.

Aleksander Dumas.

Dumas nie został jednak wybrany.

Wywiad z de Flersem.

Współpracownik „Journal Littéraire” odbył jedyny w swoim rodzaju wywiad ze światowym komedjopisarzem Robertem de Flers. Dajemy go w skróceniu.

— Czy lubi pan muzykę?
— Bardziej... Grymam jednym palcem... tylko jednym palcem — nie trzeba więcej ode mnie wymagać — prawie wszyst-

kie partytury... Muzyka jest jedną z moich największych uciech...

— Czy pan pisze obsadkę czy wiecznym piórem?

— O Boże! Mój Boże!... Obsadka...

— Jakiego atramentu pan używa?

— Fioletowego... od czasów dzieciństwa...

— W jakiej epoce pragnąłby pan żyć?

— W każdej... Cóż piękniejszego, co bardziej zachwycającego niż w. XVI? A w. XVIII... jakaś cudowna epoka...

— Jaka postać historyczną pragnąłby pan być?

— O Boże! Mój Boże! Nie wiem... Czemś w rodzaju Henryka IV albo Napoleona...

— Czy pan uprawiał i czy pan uprawia sporty?

— Poluję więcej niż kiedykolwiek. To jest jedyny sport, który uprawiałem, i myślę, że będę polował do śmierci.

— Czy pan pali? Cygara, papierosy czy fajki?

— Palię tylko cygara. To mi pomaga w pracy.

— Co pan woli: noc czy dzień?

— Wolę noc... Noc nie wymaga tyle aktywności co dzień, w nocy korzystamy z większej swobody ducha, w dodatku nie przeszkadzają nam telefony, pneumatyki i reszta... wreszcie ma się wrażenie, że korzysta się ze snu innych, że się nad nimi panuje... Czujemy się mocniejsi niż oni, czujemy się doprawdy bardzo mocni...

— Czy lubi pan słońce?

— Bardziej... wolę południe od północy...

— Czy lubi pan podróże?

— Bardziej... Zwiedziłem prawie całą Europę.

— Jaka potrawę lubi pan najbardziej?

— Belszyk po angielsku i rybę morską.

— Jakie kwiaty lubi pan najbardziej?

— Fiołki, wszelkie odmiany fiołków...

— Co pan woli: wieś, góry czy morze?

— Mam specjalne upodobanie do gór...

— Czy pan jest zupełnie zdrowy?

— Najzupełniej. Nic mi nie dolega...

Jedynie podagra, którą mam od szesnastego roku życia. To nie moja wina. O sobiście prowadziłem się porządnie, ale zato moi przodkowie sprawowali się gorzej...

— Jaki typ kobiety najbardziej panu odpowiada?

— O, pod tym względem jestem eklektykiem... rozsądnym eklektykiem.

Na tem rozmowa się urwała, bo Flers nie miał już czasu na inne pytania.

— Według „Manchester Guardian” Conrad miał napisać scenariusz do filmu. Pewna znana firma żądała 150 funtów za reżyserskie opłaty p. t. „Gasparin”, człowiek silny, scenariusz filmu, przedstawiającego łagodność jego charakteru, niesprawiedliwość jego losu, nieograniczone poddanie się woli kobiety i siłę jego miłości”. Podpis brzmi „Joseph Conrad, first copy, 29th October, 1921”).

— Pomimo sprzeciwów ze strony pewnej części literatów, o czem „Wiadomości” informowały już czytelników, pamiętnik Goncourtów będzie ogłoszony w drugiej połowie września.

W specjalnym wydawnictwie periodycznym rozpoczęto druk papierów Casanovy, przechowywanych w zamku Dux (Czechosłowacja), gdzie słynny awanturnik zmarł na stanowisku bibliotekarza.

W Paryżu mają być w najbliższym czasie ogłoszone kompozycje muzyczne Nietzschego. Są one podobno bez porównania mniejszej wartości, niż sądził ich twórca.

Jak wynika z biografii Edwarda VII, ogłaszanej obecnie przez jego przyjaciela i sekretarza, Sidneya Lee, król do czterdziestego roku życia był przez matkę swą, królową Wiktorję, systematycznie odsuwany od udziału we wszystkich sprawach państwowych.

Ukazała się autobiografia Gompersa p. t. „Seventy Years of Life and Labour”. Jest to właściwie historia ruchu robotniczego w Ameryce. Gompers daje raczej opis wypadków niż wyraz swojego stosunku do nich — szczególnie niełiche są w jego książce autoanalizy psycholo-

giczne. Do książki dołączony jest dodatek, pióra sekretarki Gompersa, która opisuje jego życie w ciągu ostatnich roku i śmierć.

Majowy „Strand Magazine” ogłasza Jerome K. Jerome’a „Confessions of a Humourist”.

Jako dodatek do „The Bookman’s Journal” ukazała się bibliografia Shawa. Rozpoczęła ją manifest, napisany w r. 1884 dla „Fabian Society”.

Wystawione w Londynie w „Leicester Galleries” karykatury ośmieszają szeregi znakomitych osobistości literackich, jak Wellsa, Conrada, Kiplinga, Bennetta i in. W serii „The Old and the Young Self” Shaw spogląda surowo na swoją postać młodzieńczą i mówi: „To dziwnie! Uderza mnie w tobie lekkomyślność, niereligijność i zachwalstwo; jesteś pełen zabawnej wiary w ludzkość i w skuteczność propagandy politycznej. — A ja przyzwyczaiłem się widzieć w tobie zupełną doskonałość”.

Nowy tom opowiadań Chestertona nazywa się „Tales of the Long Bow”. Na treść ich składają się fantastyczne przygody grupy przyjaciół.

Wydawczyni Joyce’a, Sylvia Beach, zaproponowała mu odczytanie wyjątków z „Ulyssesa” do gramofonu. Joyce zgodził się na to, i płyty z fragmentami sensacyjnej powieści są już w handlu.

„John O’London’s Weekly”, pisząc o Somersetie Maugham, przypomina, że zaczął on od niemieckiej sztuki p. t. „Schiffbrüchig”. Jego powieść p. t. „Liza of Lambrith” opiera się na doświadczeniach wyniesionych ze szpitala św. Tomasza, gdzie pracował jako lekarz.

John Masefield stworzył w ogrodzie swojego domu w Boar Hill niedaleko Oxfordu teatrzyk na sto osób i zorganizował dlań specjalny zespół.

„Virginia Quarterly Review” jest nową publikacją uniwersytetu w Wirginii. Pierwszy numer kwietniowy zawiera m. in. napisaną przez Pirandella historię powstania „Sześciu postaci w poszukiwaniu autora”.

Piotr Benoit wraz z Piotrem Wolfem piszą sztukę osnutą na powieści Benoit „Studnia Jakóba”.

nr. 15

„N A O K O Ł O Ś W I A T A”

nr. 15

Wydawnictwo GEBETHNERA & WOLFFA

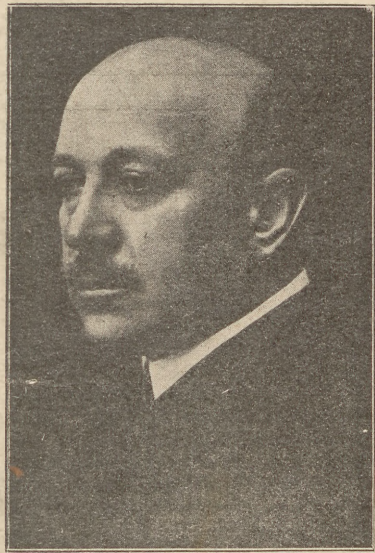
DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH I KIOSKACH

Cena zł. 2.50

Powieść i nowela

Biblioteka Dzieł Wyborowych. Redaktor Stanisław Lam. Tom XXV. Kornel Makuszyński. Bezgrzeszne lata. Warszawa, (1925); str. 156 i 4nł.

W Makuszyńskim - pocie przeważa stanowczy retor. Przeżycie — najwewnętrzniejsza treść wszelkiej liryki (zarówno wierszowanej jak prozaicznej) — stanowi u niego zwykle nader niedosta-



KORNEL MAKUSZYŃSKI
wykonał dla „Wiadomości Literackich”
zakład fotograficzny Karola Pęcherskiego

tecne podtrzymanie wspaniałego w swoim rodzaju aparatu stylistycznego. Tem bardziej zastanawia zbyt już łatwa zgoda między humorem Makuszyńskiego a jego liryką. Śmiech jest bardzo wątpliwym przyjacielem — częściej śmiertelnym wrogiem — liryki, szczególnie tej, która reprezentuje muza Makuszyńskiego. Ilekądy prawdziwych arcydzieł retoryki mogłoby wytrzymać atak śmiechu, wybijającego koturn z pod nóg natchnionego piewcy w chwili najmniej stosownej?

Zgoda owa u Makuszyńskiego jest też bardzo powierzchowna. Niemniej wszystkie koszty tego porozumienia pociągają — z którego istoty sam autor nie zdaje sobie należyte sprawy. I dlatego daremnie w „Bezgrzesznych latach” powołuje się na Dickensa i Prusa. U podstaw humoru tych pisarzy leży pewna pierwotna naiwność, niejako żywiołowa, której u Makuszyńskiego nie szukać. Można by powiedzieć, nie ubiegając się zbytnio o dokładność, jak to bywa zresztą we wszelkiego rodzaju porównaniach, że gdy humor Prusa jest jak starszy, rozumny pan z prowincji, drwinący prostodusznie, — można być człowiekiem doświadczonym, a nieco naiwnym jednocześnie, — humor Makuszyńskiego przypomina wielkomięski go gaminia. Każdy zna przedstawiciela tego typu: wyrostka, który nigdy nie był naiwny, który w dwunastym roku ujawnia daleko więcej nieprzyjemnej wiedzy życia, niż tamten zdaje się posiadać w pięćdziesiątym. Mądrość taką osiąga się za cenę utraty beśpośrodniości. Liryzm tego typu nie przekonywa, choćby był szczerzy.

Ludzie Makuszyńskiego nie żyją — żyją tylko sytuacje. Stąd też ży u niego zdaje się być wywołane sztucznie, za pomocą jakiegoś drażniącego specyfiku, a nie wynikać z naturalnego uczucia. Makuszyński zbyt często nadużywa tego plynu — podobnie jak i krwi, która biała w niego nie tyle czerwona, ale zwykłe purpurowa, ba, nawet złota. Śmiech Makuszyńskiego posiada zawsze własny wyraz, sentyment — prawie nigdy.

Śmiech ten jest niemal okrutny. Jako humorysta Makuszyński wcale nie posiada dobrego serca — jedynie pewna niezdrowa miękkość, która nie pozwala mu dojść do ostatniej mety. Maskuje to czyste zewnętrzne, niejako naskórkowe uczucie, które pojawia się niby deus ex machina.

— Stuknij się pan w czoło! — rzeknie mi czytelniku — jak można w dniach trzydziestu być w teatrze trzydziści trzy razy?

— Uderz pan głową o mur! — rzeknie ja czytelniku, — a wtedy pan pojmie! Nie tylko trzydziści cztery razy, bo czasem trzydziści pięć.

— Warja!

— Sam warja! Trzydziści przedstawień codziennych, wieczornych, cztery przedstawienia niedzielne, popołudniowe, a czasem jedno jeszcze w jakimś nadzwyczajnie święto — ile to razem?

— Pan ma zawsze rację — mówi czytelnik i ścisła mnie.

Otóż nie — czytelnik nie wzrusza się tak łatwo i nie pada w objęcia autorskie. Czytelnik po jednym doskonałym kawale czeka na drugi. W każdym razie mechanizm wywoływania wzruszenia u Makuszyńskiego obliczony jest na taki właśnie naskórkowy sposób reagowania — w jaki np. powstaje gwałtowna serdeczność ludzi pijanych.

Jest w „Bezgrzesznych latach” humor, są wspomnienia dziecięce, gry indyjskie, zakłady, jest Pan Bóg na paradzie (teatralnym), głoszący głowy podróstków, — ale dziwnie mało jest dziecka. I to jest najważniejszy grzech „Bezgrzesznych lat”.

Andrzej Stawar.

Biblioteka Dzieł Wyborowych. Redaktor Stanisław Lam. Tom XXVII—XXIX. Wincenty Blasco Ibanez. Cztery jeźdźcy Apokalipsy. Powieść. Przetłumaczyła Hajota. Tom I—III. Warszawa, (1925); str. 172 i 4nł. (I), 171 i 5nł. (II), 183 i 1nł. (III).

Przewracając kiedyś karty starej „Apocalypsis cum figuris”, zatrzymał się Blasco Ibanez na widzeniu czterech jeźdźców, którzy poprzedzają bestię. Zawiła wizja ewangelisty wydała mu się wtedy kluczem do zagadnień aktualnych, bluznierstwa wypisane na siedmiu głowach potwora zabłysnęły najnikczemniejszemu hasłami współczesności — Bestia Apokaliptyczna przybrała postać alegorii wielkiej wojny. Ponad wspaniałym paneau katastrofy wojennej w „Czterech jeźdźcach Apokalipsy” słyhać cwał szatańskich rumaków; wizja alegoryczna spraw dziejących się w niebie jest nie tyle wyjaśnieniem, ile usprawiedliwieniem straszliwych wydarzeń na ziemi. „Bóg usnął i zapomniał o świecie” — mówi jedna z postaci romansu. Z Ibanezem nie można wojować na argumenty. „Cztery jeźdźcy Apokalipsy” wynurzają się z gorączkowych majaczeń człowieka, który oglądał rzeczy straszne i zatracił granicę między rzeczywistością i kosmosem. Zbiłąkana myśl szuka tu przyczyny nieszczęścia, zwykłym ludzkim sposobem stara się odnaleźć winnych, w jakikolwiek sposób wytłumaczyć katastrofę. Powieść Ibaneza usiłuje wyjaśnić zjawisko wielkiej wojny za pomocą metody, którą można by nazwać historyczną — idąc dro-



BLASCO IBANEZ

ga wszystkich twórców, jacy kiedykolwiek próbowali rozwiązać zawiłą zagadkę dziejów człowieka, śladem prymitywnych epopei, śladem proroczych objawień Pięćcioksięgu, sięga on dla objaśnienia problemu społecznego do historii rodu ludzkiego. Szerokimi liniami epika kreśli genezę swojego romansu. Sielankę biblijną przypominają tu niezliczone stada wół pasących się wśród pręry południowej Ameryki; osiemdziesięciu czterech potomków starego Madariagi — Galiczyka, wielkiego producenta ludzi i wół, świadczy, że nie tylko na było jest łaskawa ta ziemia płynąca mlekiem i miodem. „Arka Noego” — mówi stary hodo-wa, gdy w letnią noc dochodzi go śpiew namiętny, a hiszpańskie i kreolskie gitary pobrzękują w takt włoskich canzon. Spokojnie współżycie Francuzów i Niemców, Włochów i Hiszpanów tłumaczy sobie Madariaga za pomocą szczególnego rodzaju teorii materialistycznej, rozumując, że na tych żyznych obszarach wszyscy żyją w zgodzie, bo każdemu część się jego dostaje. Człowiek „ma tutaj jeść, ma ziemi podostatkami i jest do-bry dobrocią sytego psa”. I stary Madariaga wypowiada z przekonaniem słowa sentencje: „Gdzie komu dobrze i nie grozi mu niebezpieczeństwo, że go zabiją dla rzeczy, na których się nie rozumie, tam jego ojczyzna”.

Jedynym zgłębkiem, jaki się rozlega w domostwie hodo-wcy, jest odgłos przekleństw i bójki, zamieszanie wojny domowej, która powstaje wtedy, gdy Madariaga dostrzeż, że jedna z jego córek znalazła sobie towarzysza życia. Starsza córka Galiczyka zostaje żoną paryskiego kamieniarza Marceliego Desnoyers,

który ongi, dla protestu przeciwko wojnie z Niemcami, wsiadł przypadkiem na okręt odpływający w kierunku La Platy i dzięki temu dostał się w żyżne okolice Buenos-Ayres. Młodsza, mniej lubiana przez ojca, „romantyczna”, rozwieszająca po ścianach sentymentalne obrazki, zaczytana w książkach z poezjami, wychodzi za Niemca Hartrotta, oficera zbiegłego do Ameryki po dokonaniu niejasnych nadużyć pieniężnych. Jak w sielance biblijnej dokonywa się tu rozbić rodu na dwie wrogie sobie i nierówne pod względem etycznym linie. Obaj zięciowie Madariagi wróca wraz z rodzinami do „starych krajów”, obaj wraz z potomstwem staną się typowymi reprezentantami własnego plemienia. Wnuki Madariagi-Galiczyka, porzuciwszy urodziną powstania południowej Ameryki, wezmą udział w odwiecznej walce południowców z ludźmi północy. I wyjaśnienie tych straszliwych zapasów, jakie przez usta rosyjskiego rewolucjonisty Czernowa podaje Blasco Ibanez, jest jednym z najgorętszych hymnów wojennych, rozbrzmiewających kiedykolwiek w obrębie starej Europy. Tak właśnie musiały brzmieć przed wiekami pobudki dzikich ludów na wyspach kolonizowanych przez przodków hiszpańskich pisarzy. Możliwe, że „Cztery jeźdźcy Apokalipsy” są książką szkoldiwa. Przed takimi właśnie książkami ostrzegali kilka lat temu prof. Nicolai w swojej słynnej „Biologie des Krieges”. Trudno sobie wyobrazić powieść bardziej „batalistyczną”. Akt oskarżenia w niej zawarty jest przecież nie tylko rozpaczliwym krzykiem człowieka zranionego — brźmi on płomienną nienawiścią do jasnowłosej rasy Germanów. Blasco Ibanez nie znosi Niemiec, ich organizacji, niemieckiej nauki, niemieckich profesorów. „Die Kultur” — to działalność państwa, które organizuje i przyswaja sobie jednostki i społeczeństwo, aby służyły jego państwu. A to państwu polega głównie na wywyższeniu się nad inne państwa, by je zgnieść swoją wielkością, albo — co na jedno wychodzi — swoją pychą, zaciekłością i przemocą. Wojna niemiecko-francuska jest przedewszystkiem zmaganiem się niewolniczo systemu z wzniosłą ideą wolności i sprawiedliwości. Pomiędzy wierszami „Czterech jeźdźców Apokalipsy” słyhać bicie gorącej krwi dawnych wojowników. Mniejsza o to, czy słuszne są wycieczki antyniemieckie. Ta powieść, tchnąca nienawiścią do odrębnej psychiki rasy, wyrosła z korzeni ukrytych głęboko w gliniastym gruncie życia. A życie jest poza wszelkimi potępieniem. Autor „Czterech jeźdźców Apokalipsy” ma w sobie coś z drugącej siły życia — strasliwym huraganem ogarnia ludzi zwykłych, pozabawionych heroizmu, nieprzygotowanych zupełnie na doświadczenia wojenne. Sceny paryskie, niemiłowe zdjęcia ulic i salonów tłoczą się tu po to tylko, aby dać tło wstrząsającej zawieszce dziejowej. Bohaterowie Ibaneza — to są właśnie ci ludzie, którzy wypełniają miejskie chodniki, gromadzą meble w palacach na avenue Victor Hugo, a w nocy z pod olbrzymiego sklepienia Łuku Triumfalnego spoglądają z niepokojem w zarożnowione perspektywy pól Elizejskich. Ironia, z jaką traktuje autor tych ludzi niezłych i pospolitych, przypomina mimowolną ironię życia. Są oni jak najzupełniej niezdolni do przewidzenia wymiarów zdarzeń. „Mała” pani Laurier boi się w najgorszych dniach sierpniowych, że ogłoszenie wojny przeszkodzi jej w wyjeździe do Vichy i innych projektach domowo - erotycznych. Stare typy romansu francuskiego nie wychodzą tu właściwie z dawnych ról. Ale spletała, pełna najdziwniejszych przeciwieństw akcja ukazuje ich nieoczekiwane wartości. Dawny kamieniarz paryski, Marceli Desnoyers, naprzekór wszelkim teorjom Madariagi myśli o swojej młodości i ucieczce do Ameryki jako ciagle jeszcze nie-splaconym wekslu. Blasco Ibanez pokazuje tych ludzi w strasliwym wirze huraganu dziejowego, opowiada o nich, zrywając raz po raz watek akcji, poto aby się przenieść z pracowni malarskiej na rue de la Pompe w dawne czasy wśród pręry amerykańskich, albo z pola bitwy nad Marną do Biarritz, wypełnionego tłumami uciekinierów paryskich. Szarpana linia opowiadania zatracza wszelką świadomość czasu, przesuwając z błyskawicą kinydziniecą dziesiątki lat, podczas gdy kiedykolwiek pełne treści minuty sprawiają wrażenie długich miesięcy. W tym ka-

leidoskopie zdarzeń sam autor gubi perspektywę akcji — czasem tylko udaje mu się wydobyć poza płataninę ludzi i faktów, wyczuć poza tym błędnym okrętem, wiozącym szalonych zapasników, chłodne tchnienie nieskończoności. Ale mimo wszystko chaos rozwiązuje się w jasnych liniach trzech części romansu. Książka Blasca Ibaneza jest wiernym sprawozdaniem procesu dziejowego. Może jej zakończenie przypomina jaskrawością plakat propagandowy. Ma on jednak wszystkie cechy dobrego wykreślenia rzeczywistości, w ludziach, których bestia natchnęła poprzednio duchem nienawiści, budzi się myśl, że nieszczęście jest jednakowe z obu stron granicy; nad zagubionym wśród równin Szampani grobem Julka Desnoyers starego rodzice przypominają sobie pręry pełne bydląt i starego Madariagi, sławiącego w letnią noc spokój i zgodę między ludźmi. Z tęsknotą ludów, myślących o minionym, złotym wieku, mówi: „Dlaczegoś tu przyjechał?” A ich westchnieniu towarzyszy płomienny pocałunek miłości, wspaniałe preludium wciąż trwającego życia. Bo w ostatecznej konsekwencji „Cztery jeźdźcy Apokalipsy” są epiką pochwałą życia z jego klęskami, porywami, bezsensownością i wciąż tym samym nawrotem zdarzeń.

Przekład p. Hajoty zwraca uwagę czystością i pięknnością języka.

Regina Reicherówna.

Claude Farrère. Niezwykła przygoda Achmeta Paszy Dżemaledina. Przekład i przedmowa Kazimierza Bukowskiego. Łwów, „Globus”, (1925); str. 167 i 1nł.

Ta zanadto naszpikowana natrętną publicystyką przypisek apologeta ginące Turcji sułtańskiej wydana została jeszcze w czasie gospodarki Greków w Azji Mniejszej. Stąd wielka namiętność i krzykliwość. Jeżeli pominąć argumenty polityczne, z którymi autor zwraca się do publiczności francuskiej, reszta jego obrony sprowadza się do wyrzekań zacietrzewionego snoba - turysty. Podobnie jak Loti, Farrère rozmawiający jest w egzotyce starotureckiego bytu. Z tego punktu widzenia jednakowa wartość przedstawiają dla niego: sam kalif, powiernik Allaha, harem kobiet, wspaniałe gmachy Stambułu, dające zadziwiający kontrast z otaczającym brudem, rudarami i błotem, patryarchalność obyczajów, nawet słynne tysiące psów bezdomnych na ulicach Konstantynopola.

Zato z jednakową nienawiścią wspomina zewnętrznych wrogów państwa otomańskiego — Słowian, oraz reformatorów wewnętrznych, usiłujących je zeuropeizować. Oto, w jak mało wytwor-



KLAUDJUSZ FARRÈRE
w mundurze oficera marynarki

ny sposób określa rząd młodoturecki z okazji wzięcia owoch blakających się psów (nb. środek stosowany stale we wszystkich miastach europejskich): „Stało się, że zgraja podłych lotrów, wróciwszy z wygnania, dorwała się do władzy w Konstantynopolu i wydała głupi nakaz wybić wszystkich blakających się psów”. Podobnie komiczny patos ponosi Farrère'a zawsze, gdy „stary obyczaj” wydaje mu się czemś zagrożonym. Jakiś Turek mógłby na to z zupełną słusnością odpowiedzieć, że gdyby np. słynne budowle i pomniki paryskie zamiast solidnych mieszczkańskich kamienic miały otoczenie z rud i lepiantek, a po niebrukowanych ulicach miasta biegały stada półdzikich psów, to kontrast ten oddziaływałby na zwiędającego turystę jeszcze bardziej dojmująco, niż stan dzisiejszego Konstantynopola. Niewiadomo tylko, czy to przemówiłoby do ptasiego mózgu poszukiwacza egzotyki.

Tytułowa nowela książki jest słaba. W usiłowaniu oddania tonu wschodniego bazaru, rozległego i gadatliwego, Farrère wpada często w śmieszność.

Tłumaczył p. Kazimierz Bukowski, ten sam, który, przełożywszy „Dom i świat” Tagorego, dał niezawodnie jeden z najgorszych przekładów w Polsce. Jeżeli jednak p. Bukowski ma tłumaczyć nadal, należałoby życzyć, by ograniczył się do dzieł nie wyższych wartością ponad omawianą książkę Farrère'a. Czytelnik może sobie przynajmniej bez złości powtórzyć znane przysłowie: wart Pac pałaca i t. d.

Wśród piasków Sahary

Ernest Psichari. Głosy wołające na puszcy. Wspomnienia z Afryki. Przełożyła Zofia Morstinowa. Poznań, Fiszer i Majewski, 1925; str. 257 i 1nł.

W naszej znajomości literackiego i umysłowego życia Francji istnieje poważna luka. Byliśmy w ciągłym kontakcie z przedwojenną twórczością Francji, nawiązaliśmy ten kontakt obecnie, ale istnieje tych kilka lat wojny, podczas których byliśmy odgrodzeni od Francji chińskim murem okopów, a potem naszej walutowej inflacji. W tym właśnie czasie wyszły w Paryżu „Głosy wołające na puszcy” i inne książki Psichariego: „L'appel des armes”, „Voyage du centurion” — i dlatego tak stosunkowo mało są u nas znane. Książki te, pisane przed samą wojną, rzucają ciekawe światło na dorastające młode pokolenie, którego celem i czynem miało być „odkupienie Francji przez krew”, a tak ich autor jak i one zasługują ze wszelkich miar na uwagę i zainteresowanie, i pod względem psychologicznym i pod literackim.

Ernest Psichari jest, jak wiadomo, wnukiem Ernesta Renana. Fakt ten przydaje oryginalności i ciekawości całej jego ewolucji wewnętrznej, polegającej na przejściu od zupełnego ateizmu i wewnętrznego nihilizmu do gorącej wiary katolickiej.

Mam wrażenie, że nie doceniamy psychologicznej ciekawości i literackiej piękności książek, opowiadających nam historie nawróceń. Czy w jakiegokolwiek powieściowej sytuacji możemy znaleźć tak głęboki i szczerzy tragizm, jak w duszach tych ludzi, którym z jakichkolwiek powodów wali się cały ich światopogląd, którzy w rozpaczliwej walce, mrokach i niepewności szukają jakichś nowych a nieznanych prawideł i podstaw życia, którzy w mozolnym trudzie, a nieraz i w krwawej ofierze przewartościują swój stosunek do siebie samych i całego świata? Czy może być coś większego i bardziej tajemniczego, jak ten, jak świat stary, głód Boga, odrywający się w niektórych duszach nieprzepartym wołaniem?

Niesłusznie więc pozostawiamy zwykle na boku tego rodzaju książki jako lekturę dla ludzi interesujących się wyłącznie kwestiami religijnymi. Zdejsze mi się, że tego rodzaju wewnętrzne dramaty przedstawiają interes dla każdego, kto z ciekawością patrzy na tę dziwną istotę, zwaną człowiekiem, na tragiczną i bolesną walkę, którą od wieków prowadzi ludzka dusza w dążności do światła, piękna i dobra.

„Głosy wołające na puszcy” są właśnie historią takiego wewnętrznego przeobrażenia, a są tem ciekawsze psychologicznie i życiowo, że nie jest to historia człowieka szukającego w wierze pociechy i ukojenia po zawodach życia, ale historia młodego, dwudziestokilkuletniego oficera wojsk kolonialnych, który wśród trudów wojennych i koczowniczych szuka prawdy, ładu, podstaw i siły życia.

I nie jest to historia robiona później, układająca w harmonijną całość przeżycia wewnętrzne; jest to raczej rodzaj dziennika, pisanego „w cieniu namiotów”, wśród jałowych piasków Sahary, „w obliczu gwiazd przyjaźni”. W dziwnych tych, a jak białe, pustynne słońce palących kartach, znajdujemy na przemian opisy walk z plemionami pustyni, urywki z historii afrykańskich Muzułmanów i francuskiej kolonizacji, wrażeń z dalekich wypraw na grzbiecie wielbłądów; a wśród szczeru oręża, wśród głodu i pragnienia, odzywa się co chwila głos duszy „spragnionej nadprzyrodzonej” — duszy odsuniętej od wszelkich wpływów świata, ludzi i literatury — duszy przerażonej i przejętej strasliwym milczeniem afrykańskich pustkowi. I „pozostawiony sam sobie na nagiej ziemi”, „wśród podmuchu burz”, szuka młody wojownik czegoś, — sam nie wie czego, — co by zaspokoilo głód jego duszy, czegoś, co by mu dało odpowiedź na „trwożące zagadnienia życia i śmierci”.

Nie zdaje sobie sprawy, czy „Głosy wołające na puszcy” są książką dobrze zbudowaną i piękną. Zdaje mi się, że nie są wcale budowane; czasem wydaje mi się, że nie są wcale książką; wydaje mi się, że są po prostu żywem, pełnem ludzkiego nieładu i nielogiczności, poddającym się chwilowym wrazeniom i nastrojom, wracającym bez troski o literackie efekty do tych samych myśli i refleksji, przechodzącym beśpośrodnio od najwyższych wzlotów do zniechęcenia i zwątpienia.

Ten pewien nieład opowiadania daje nam jedynie w swoim rodzaju wrażenie beśpośrodniości i teraźniejszości — wrażenie, że jesteśmy obecni przy stawianiu się nie tylko nowego człowieka, ale i przy stawianiu się książki. I tak jest w rzeczywistości. Dziennik pisany przez Psichariego na Saharze nie był pierwot-

nie przeznaczony do druku. Po powrocie Psichariego do kraju i po oficjalnym jego wstąpieniu do kościoła katolickiego, namawiali przyjaciele młodego konwertysty, aby opisał swoje nawrócenie. Uczynił to w książce p. t. „Voyages du centurion”. Książka ta jest właściwie tem samem co „Głosy wołające na puszcy”, ale ubrana w formę powieści czy opowiadania w trzeciej osobie. „Głosy wołające na puszcy” w ich pierwotnej formie wydał Psichari prawie niechętnie, jedynie na usilne prośby swoich przyjaciół.

Porównanie tych dwóch książek nasręca nam niezmiernie ciekawe obserwacje literackie. Rzadko mamy sposobność porównywać tak beśpośrodnio materiał życiowy z literacką wersją. Bo z „Voyages du centurion” najwidoczniej chce już Psichari zrobić dzieło literackie, przeznaczone dla czytelników, tak więc właściwą książką są dopiero te „wędrowki setnika”, a „Głosy wołające na puszcy” są raczej jej żywym i surowym materiałem. Ale jako takie przedstawiają i ciekawszy dokument psychologiczny i artystycznie stoją o wiele wyżej. W powieści Psichariego odczuwamy pewną sztuczność, pewną chęć literackiego efektu. Zdania i uczucia są trochę zaokrąglone, historia wewnętrzna ujęta w pewną logiczną i jednolitą całość. Usunięte są różne dygresje, refleksje uporządkowane. Ale przez to całość wychodzi trochę blade, i nawet pustynia zdaje się tracić swój ponury i groźny charakter.

A właśnie cała artystyczna i to niepoślednia piękność „Głosów wołających na puszcy” leży w tej ostrości tonu, w silną ręką kreślonych szkicach, w nieładzonej grozie i jałowoci czarnych kamienistych rągów i metalicznym hadem pokrytych wydm.

Psichari nie jest turystą. Dla niego Sahara nie jest polem malowniczych obrazów; dla niego jest „surową ziemią powstającą na każdym kroku przeciwko człowiekowi”. Psichari nie jest psychologiem: nie śledzi z ciekawością swoich uczuć; rwie się do przezwyciężenia a nieznanej prawdy, nie obserwuje, tylko szuka — szuka z namiętnym pragnieniem znalezienia. Psichari jest człowiekiem czynu; chce zdobyć dla Francji tę nieogószczoną ziemię, chce zdobyć dla siebie światło i siłę. W postoju przy wysychającej studni nie ma czasu na długie opisy; notuje się to co uderzyło, co napełniło gozłą lub podziwem. Notuje się dla pamięci fakty i wypadki, notuje się myśli i uczucia, dla wyrwania z siebie „du trop plein” — notuje się bezładne refleksje o sztuce, Francji, wojsku, literaturze, religii, Bogu, miłości, bez troski o logikę i następstwo, kierując się jedynie tą najwyższą logiką i największym porządkiem: niekonsekwencją i różnorodnym bogactwem duszy ludzkiej, żyjącej całą intensywnością myśli, czynu i uczucia.

I właśnie dlatego, że „Głosy wołające na puszcy” nie są pisane dla nas, dając nam przekrój całego człowieka, w jego stosunku do wszelkich zagadnień religijnych, narodowych, kulturalnych i artystycznych, stawiając nam przed oczyma jednego z tych młodych, dojrzałych w niepokojącej dobie ostatnich przedwojennych lat, młotnionych niepewnością, przezwyciężających walenie się starego świata, owianych tą przedwczesną powagą, jaka znamię ma mających młodo umrzeć. „Czujemy, że przez nas dokonają się rzeczy wielkie” — „mamy poczucie naszej odpowiedzialności”...

I to jakieś dziwne przecucie i niepokój udziela się i temu, kto wraz z młodym, zaniepokojonym Psicharim słucha głosów pustyni i głosów gorącej jego duszy.

Nie potrafię powiedzieć, dlaczego z kart tej książki wieje jakiś dziwny nastrój, bardzo wysoki, bardzo surowy i bardzo fascynujący. Czy tak daleka działają na nas rozdzierane w słońcu piaski Sahary, czy podciąga nas tajemniczy urok białych i niebieskich, w nieskończoną przestrzeń mknących gandr, — czy może, nade wszystko, to niespodziewane zekłnienie się z żywa i trwożącą tajemnicą ludzkiej duszy porusza w nas jakieś ukryte — a może i bolesne tęsknoty?

Zofia Morstinowa.

Ostatni tom poezji

Gabrjela KARSKIEGO

p. t.

GRA

Skład główny: Tow. Wydawn. „IGNIS”

Fotograf KAROL PĘCHERSKI
(Nowy Świat 57, tel. 132-91)

Atelier otwarte od 9—18,
w niedziele i święta na zamówienie

„ISKRY”

TYGODNIK DLA MŁODZIEŻY
nr. 29—30

Z. Michler: Romantyk i pozytywista. — W. Prażmowska: Pokój wody. — J. Czarnecki: Morawska jaskinia. — Ciekawe i nieciekawe. — A. Stodor: Krwawy komtur. — Amundsen i jego wyprawy podbiegunowe. — E. Słoński: Polowanie na wilki. — T. C. Bridges: Napowietrzniki żeglarskie. — Z życia harcerskiego. — Kąci dobrych znajomych. — i wiele innych.

Cena zł. 0.45

MAŁY REMINGTON



trwały, lekki,
tani, niezbędny
w domu,
w biurze,
w podróży

Posiada
42 klawisze
jak duża wzo-
rowa maszyna

BLOCK-BRUN
S. A.

Warszawa
Hotel Bristol

Ruch teatralny

Teatr „Szkariatna Maski”: „Idjota”, sztuka w 5 aktach (6 odsłonach) podług powieści **Teodora Dostojewskiego**; reżyseria **Jana Janusza**, dekoracje **Tadeusza Gronowskiego**.

Przeróbka sceniczna genialnej powieści Dostojewskiego nie daje nam prawa do sądzenia i rozważania o wielkim Rosjaninie. W ramach sprawozdania teatralnego trudno jest nawet wspomnieć o samym źródle; o tej groźnej, trującej serce historii uderki Nastazji Filipowny, historii cierpienia Rogożina i opowieści o świetlanej mądrości i prostocie Myszkina.

Dla nas, którzyśmy przez powieści Dostojewskiego przeszli jak przez podgorączkowy stan rekonwalescencji, którzyśmy jak muchy zamknięte w trującym je kloszu gubili się w męczącej atmosferze jego geniuszu, błądząc bezradnie po kartach książek jak bezkrytyde owady, — dla nas Dostojewskij jest to czasem historia całych lat młodości, cały stosunek do wszelkich zawitych spraw miłości i krzywdy ludzkiej. Dziś myślę, że potrafiliśmy wyrwać się i wyrzucić z tego koła uderki, z tej lepkiej, wnikliwej woni spreparowanej i rozłożonej duszy człowieka, z tego prosektorium życia, z tej przekłetej, bezlitosnej a jednak tak prostolinijnej analizy. Dziś dopiero uczymy się patrzeć na Rosję oczami Zachodu, mądrze i wszechstronnie spojrzeniem wielkiego marynarza Conrada. Może potrafimy z czasem zarzucić odważnie w to ponure bizantyjskie wnętrze i zmierzmy jego głębie i piękno, ale dziś jeszcze zbyt nas czują mroczne zakamarki tej świątyni diabła czy Boga, abymy mogli patrzeć, jak Conrad, „Oczami Zachodu”, znajdując w swej wszechludzkiej mądrości kryteria i prawa do sądu.

Na przedstawieniu „Idjoty” chwilami tylko obcowaliśmy z Dostojewskim. Autor przeróbki, zachowując o ile możliwości materiał słowny i dialogi, wyciągnął z tej żywej organicznej istoty sam szkielec. Pokazał nam z „Idjoty” jeno samo rusztowanie, sam kręgosłup, nieokryty ciałem i skórą. To też dla tych, którzy znają dobrze powieść, przedstawienie było przypomnieniem paru zasadniczych powikłań i konfliktów — na ludziach zaś, którzy „Idjoty” nie czytali, przedstawienie musiało czynić efekt brutalnie dramatycznej i niezbyt logicznie zbudowanej sztuki z życia rosyjskiego. Jest to zwykły los przeróbek powieściowych. Przynać jednak należy, iż dzięki bogactwu powieści i geniuszowi autora — lwi pazurek, przebiłszy siły bił na widownię nawet z tych parą poszarpanych scen.

Główną rolę Lwa Mikołajewicza Myszkina wykonał Wojciech Brydziński. Szlachetny ten i skupiony aktor grał „Idjotę” nabytym może wstrętemi, ale każde jego słowo nacechowane było powagą. Zbyt mało tylko okazywał cnotliwości i owego dobroliwego rozstrągnięcia, które się łączy dla nas zawsze ze wspomnieniem o księciu Myszkynie.

Pani Starska miała parę dobrych momentów. Była Rosjanka. Biegąnski przeszedł przez rolę poprawnie, nie wydobywając wiele z tej kreacji niezbyt dla niego odpowiedniej. Pani Łaska była zbyt trywjalna. Pani Grywińska jest ładna, ale zbyt jeszcze surowa. Dobre epizody stworzyli pp. Janusz, Orwid i Gawlikowski oraz p. Kalitowicz.

Dekoracje Tadeusza Gronowskiego zbyt luźno związane ze sztuką — zupełnie nie rosyjskie. Literatury i sztuki rosyjskiej nie można odłączyć od Rosji. „Idjota”, rozgrywający się na Forum Romanum lub w ogrodach Wersalu, jest nie do pomyslenia.

Teatr Polski: „Fotel 47-y”, komedia w 4 aktach **Ludwika Verneula**; reżyseria **Karola Borowskiego**, dekoracje **St. Słowińskiego**.

„Fotel” p. Verneula ma dziurę. Gdybyśmy zajrzeli w tę dziurę, zobaczylibyśmy to, co zawsze się widzi w takich okolicznościach, t. zn. — kloake. Pod tym fotelem, służącym nie tylko do siedzenia, leżą całe pokłady, całe kopalnie, nad którymi unoszą się wzdłużne obłoki gazów kłocznych.

„Fotel 00” jest świnstwem otwartym i cynicznym. Mniejsza już o tendencje moralne i poziom etyczny, nie będziemy tu protestowali przeciw brudom życiowym i szmirom cuchnącym na odległość Warszawy—Paryż, ale żądamy dowcipu lub, co najmniej, pomyslowości.

Jeśli więc raz jeszcze ośmieli się nam pokazać na scenie starą prostytutkę Gilbertę, młodą idiotkę Lulu, starego białego i szubrawca — tabetycznego barona, młodego śmierzdla — amanta, — jeśli raz jeszcze odważa się na scenie przez nieporozumienie oświadczać się o matkę, a żenić się z córką, — jeśli raz jeszcze pokaza nam służbę, która pali cygara państwa, i państwo pijące szampana przy każdej okazji (w myśl przysłowia „Dobry trunek na stosunek”), — jeśli raz jeszcze służąca na głos dzwónka powie „zaraz—zaraz”, a młody człowiek będzie się zalecał do matki i do córki jednocześnie, — trzeba będzie zacząć rzucać na scenę zgłębione jaja w myśl zdrowej zasady „Idź swoje do swojego”.

W czasach gdy stare formy teatralne — nawet najszlachetniejsze — przeżywały się i starzeją katastroficznie, należało by więcej pomyśleć o poziomie sztuk wystawianych w teatrze. Jeśli głupie lub cyniczne kierownictwo teatru p. Szymańskiego nie dba o dostatecznie — dbać powinni aktorzy, którzy są pośrednikami między sztuką a publicznością. Nawet najcyniczniejszy pośrednik cofa się przed brudnymi aferami. Nawet najbardziej żądny rozgłosu lub zarobku adwokat zrzeka się prowadzenia pewnych spraw. Jeśli nie względy etyczne, to przynajmniej zdrowy instynkt i chęć utrzymania warsztatu pracy powinny skłonić aktorów do bojkotowania pewnych sztuk. Zwłaszcza aktorów tak uświadomionych, jak p. Solska, która nie powinna była grać roli Gilberty, uchybia to bowiem jej godności artystycznej, a co gorsza — ośmiesza, — nikt bowiem nie może, żeby połowa Paryża szalała za tak czcigodnie wyglądającą aktorką. Nawet z punktu widzenia interesu aktorzy domagać się winni grania sztuk o wysokim poziomie moralnym. Powodzenie „Przeziębłości”, a choćby „Don Juana”, powinno ich nauczyć tej prawdy. Publiczność całego świata znudzona jest oglądaniem „facetów dowalających się do facetek”, kazirodznych figielków, pederastji i masturbacji, nagości na scenie i pod gości za sceną i tych wszystkich trójkątów i kwadratów kwadratowych osłów i okragłych idiotów, spekulujących na teatrze, którzy nam już stoja kością w gardle, aczkolwiek mamy ich zupełnie z innej strony.

Wykonanie „Fotelu” nie było zbyt solidne. Fotel ten miał bardzo ładne nogi (p. Modzelewskiej) i twarde siedzenie p. Łuszczewskiego. Obicia nie było, i to uważamy za błąd kardynalny.

Teatr Letni: „Codziennie o 5-ej”, komedia w 3 aktach **M. Hennequina i P. Vebera**; przekład **Józefa Brodzkiego**, reżyseria **E. Chaberskiego**, dekoracje **A. Kozłowskiego**.

Konwenans farsy francuskiej nudy nas dzisiaj i niecierpliwi. Każda postać, wychodząca na scenę, jest jak wyraz krzyżówki — środkowa litera tej postaci daje początek nowej, która z kolei krzyżuje się z następną. Przez pierwsze półtora aktu musimy śledzić nudną pracę nagromadzania różnych nieprawdopodobieństw, które w końcu trzeciego aktu wystrzelają z wielkim hukiem i albo nas troszkę śmiesza, albo wcale. Och, jak dobrze znamy te różne Ginette’y, Germaine’y, baronów, komisarzy policji, knąbrne służące, safaundulów z prowincji i wszystkie czcigodne akcesoria tej zgryzliwej maszyneryi, którą się puszczą w ruch, aby pokazać raz jeszcze, jak mężowie zdradzają żony i jak cały świat kręci się bezprzecznie wokół spraw seksualno - finansowych. Dzieje się to „Codziennie o 5-ej” w życiu i codziennie o 8-ej w teatrze. Jeśli to, jak w tym wypadku, jest nawet zabawne, — zbyt drogo musimy okupywać każdy uśmiech. Myślę, że farsa Verneula, niesmaczna i nieudana, i względnie zreczna farsa pp. Hennequina i Vebera jednakowo są przelżykami. Poi-realizm, panoszący się w tych erotycznych bredniach, jest czemś obrażającym. Autorzy dociągają z całej siły żywiołowości i prawdę, jak gorset, na obfitym i nieforemnym biuście niemodnej groteski. O ileż czystziej i szlachetniej przemawia do nas współczesna farsa kinematograficzna. Wyżutą z czczego realizmu, wkracza zwycięsko w czystą atmosferę nonsensu i tam świeci triumfy. Bohaterowie fars francuskich—to stare, zakurzone, nudne i cuchnące manekiny—w porównaniu z boską i żywą świetnością Chaplina, Keatona, Lloyda. W kinematograficznej farsie tętni wielki, ukryty za płótnem ekranu, świat pracy i humoru. Wśród palmowych alej Hollywood, w słońcu Kalifornii, w warczeniu motorów sunących brzegiem Pacyfiku ujawnia się współczesna radość życia, bez której niema dowcipu i wesołości. Rzućmy już raz ten stary teatr marionetek francuskich — oddajmy dzieciom te potłuczone kukielki; one potrafią one już zająć ani rozśmieszyć człowieka dorosłego.

Wśród wykonawców wyróżnić należy p. Brydzińską i p. Lenczewskiego; p. Lenczewski miał wiele humoru i zacięcia charakterystycznego, p. Brydzińska była, jak zawsze, dowcipna i pełna wdzięku.

Przekład p. Józefa Brodzkiego żywy i poprawny, z wyjątkiem niemiłego zdrobnienia Celestyna na „Toleczek”. Niestety, muszę zachować przy sobie powody, które nie pozwalają mi odnieść się z sympatją do tego imienia.

Antoni Słonimski.

Książki najgorsze

Kazimierz Brzeski. „Poezja buduaru”. Warszawa, 1925; str. 23 i 1nl.

Pierwsza strofka pierwszego wiersza:

„Dzisiaj dzień taki chory anemiczny i blady,
Taki smutny, jak zima wśród sybirskich złych tag,
W taki dzień smętny zamki, oraz pstre balustrady
By cudownie rysował tajemniczy Van Dyck”.

Widać Van Dycków było dwóch. Jeden zwykły i jeden tajemniczy, który „by cudownie rysował pstre balustrady”, ale się bał, bo tego nie robił. Pan Brzeski niczego i nikogo się nie boi i pisze spokojnie o znanym malarzu rosyjskim Riepinie:

„Jakby sztuka rosyjskiego rzeźbiarza (?) Riepina”.

Albo:

„Gdzie snem ekstaz, ekscesów (!) na Chopina ulicy
Spała Pani wykwinna melodyjna jak gam” (!).

W tej samej strofie czytamy:

„W wielkowiejskiej Astorii piłem pstrą soczewnicę”.

„Soczewnica” to coś pośredniego między soczewką i soczewką. „Astoria” jest jeszcze zbyt wielkowiejską dla autora tych bredni. Niech go „Wiry” pochłona. Pan Brzeski powiada również:

„Znów rozcielał (?) przed Panią moich uczuć rydwany”.

Rydwanu nie można „rozcielać”, można rozścielać, ale i to nie rydwan, tylko — dywan, a na dywanie gością, poczem—wrzepić mu parę tegich kijów.

„Przyjdź ekstazerko (!) w szarych swych botach (!)
Przyjdź ma królowo w śnieżnym dessous”.

„Ekstazerka” jest to znów coś pośredniego między etazerką a ekstazą. Ta „perfumowana” książeczka, w której wszystkie wiersze są z jednej beki do śledzi, nie jest właściwie godną pomieszczenia nawet w rubryce „Książek najgorszych”: jest to ohyda życiowa o której trzeba jak najprędzej zapomnieć.

Camera obscura

Serbowie nie lubią Japończyków

„Sytuacja w Chinach gmatwa się i pogarsza z dnia na dzień. Jak z ostatnich depesz wynika, ruch nacjonalistyczny, zwrocony przeciw obcym, zarówno Europejczykom jak i Japończykom objął już nie tylko Szanghaj, ważniejsze miasta chińskie, ale przeniósł się poza terytorium państwa „wschodzącego słońca”, przenika do Indji i do Serbji, obejmując kolosalne obszary centralnej i wschodniej Azji” („Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr. 197).

Dowiadujemy się więc, że w Serbji ruch nacjonalistyczny zwrócił się przeciw Europejczykom i Japończykom. I o nieważ w Serbji niema Japończyków, a mieszkańcy Serbji, mimo zapewnień „Kurjerka”, są Europejczykami, — nie wiadomo, kto przeciw komu powstał. A rózże Serbja istotnie znajduje się w „centralnej i wschodniej Azji”, ale jeśli tak jest — to stało się to bardzo niedawno i bardzo po cichu. Musieli któreś nocy poprostu Serbje przenieść do Azji, i nikt tego narazie nie spostrzegł. Mój Bóg, ale tak trzeba teraz na wszystko uważać.

Strasne węże.

„Dość wspomnieć, że w niektórych okolicach podzwrotnikowych umiera skutkiem ukąszenia przez węże miesiecznicie około 25% tubylczej i napływowej ludności” („Ilustrowany Kurier Codzienny”, nr. 191).

A może lepiej było nie wspominać? Bo jeśli się zastanowimy nad tem zaniem, co wyniknie? Spróbujmy. Przypuścmy, że w danym kraju znajduje się ludności „tubylczej i napływowej” równy milion. Jednego mieszkańca umiera 25%, zostaje więc 750 tysięcy. Następnego miesiąca umiera 187 1/2 mieszkańca (lekawe, czy pół dolne czy górne), zostaje więc 562 1/2, po trzech miesiącach 422, po czterech 307 tysięcy, i t. d. Nie chce mi się przytyczać moich zmudnych obliczeń, ale jeśli przypuścmy, że węże zaczęły gryźć dopiero od dwudziestu lat, w owym kraju podzwrotnikowym powinna pozostać dzisiaj jedna pięćset sześćdziesiąta ósma część człowieka — i tę biedną cząstkę kasają teraz wszystkie węże całego kraju.

Literacko - artystyczne...

„Poszukiwana jest koncesja wódczana z wyszynkiem na miejscu do mającego powstać w Warszawie kabaretu literacko-artystycznego (teatr Variete). Wiadomość: Hotel Angielski, pokój Nr. 5, od 4—5 po pol.” („Kurjer Warszawski”).

Informacje bibliograficzne

dostarczane przez księgarnię E. Wende i S-ka

Krytyka, historia literatury

Biblioteczka Uniwersytetów Ludowych i Młodzieży Szkolnej—186. **Ignacy Chrzanowski.** Juliusza Słowackiego „Grób Agamemnona” i „Testament mój”. Warszawa, Gebethner i Wolff, (1925); str. 57 i 1nl.

Powieść, nowela

Maria Czeska - Maczyńska. W obronie Gdańska. Powieść z czasów wojen polsko - szwedzkich. Z 5 ilustracjami **St. Sawiczewskiego.** Poznań, Księgarnia św. Wojciecha, (1925); str. 4nl. i 210 i 2nl. Zi. 4.20.

Juliusz Verne. Tajemniczy pilot. Powieść fantastyczna z 5 ilustracjami. Tłumaczyła **K. Bobrowska.** Poznań, Księgarnia św. Wojciecha, (1925); str. 4nl. i 303 i 1nl. Zi. 4.50.

Filologia

Biblioteka Niemiecka. Zeszyt 12. Die Sage von Walthar von Aquitanien (Walthar und Hildgunde). Die Dietrichssage. Opracował **Emanuel Roszko.** Lwów, „Książnica - Atlas”, 1925; str. 58. Zi. 1.20.

Premières leçons de français avec prononciation figurée et 160 gravures dans le texte. Par **K. Mellerowicz.** Manuel honoré d’une préface de M. Paul Passy, docteur ès-lettres. Warszawa, Gebethner i Wolff, (1925); str. 2nl. i 128 i 2nl.

Religia

„Mała święta”. Obrazki dla dzieci z życia św. Teresy od Dzieciątka Jezus. Opracowała **S. Barbara Żulińska C. R.** Lwów, „Biblioteka Religijna”, 1925; str. 62 i 2nl. i 15 ryc. Zi. 1.—

Prawo, nauki społeczne

Dr. Józef Ordyński. O separacji, rozwodach i nieważności małżeństw. Do praktycznego użytku dla laików i prawników. Warszawa, J. Czernecki, (1925); str. 176 i 2nl. Zi. 3.60.

Pedagogika

Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Materiały i opracowania z zakresu pedagogiki. **Z. Bohuszewiczówna.** Lekcje botaniki w IV klasie szkoły średniej. Warszawa, „Książnica - Atlas”, 1925; str. 4nl. i VIII i 451 i 1nl. Zi. 15.—

Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Spis książek szkolnych dla gimnazjum państwowego na rok szkolny 1925/26. Warszawa, „Książnica - Atlas”, 1925; str. 48. Zi. 1.50.

Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Opis podręczników szkolnych, dozwolonych do użytku w szkołach powszechnych na rok szkolny 1925/26. Warszawa, „Książnica - Atlas”, 1925; str. 32. Zi. 1.—

„KATALOG PRASOWY PARA R. III 1925”

WYSZEDŁ Z DRUKU

Do nabycia we wszystkich księgarniach w cenie 3. zł.

Nakładem „Życia Teatru”

ukazał się

trzeci tom „Biblioteki Dramatycznej”

„DALILA”

tragikomedja o Samsonie w 3 aktach

Wacława Rogowicza

Cena 80 groszy

Do nabycia we wszystkich księgarniach

Prenumeratory „Życia Teatru” otrzymują bezpłatnie

„UNDERWOOD PORTABLE”

NAJLEPSZA MAŁA MASZYNADO PISANIA

G. GERLACH

WARSZAWA — OSSOLIŃSKICH 4



WACŁAW CZARSKI I S-KA

w Warszawie, Marszałkowska 113,

POLECA:

BANDROWSKI-KADEN J.: *Miasto mojej matki* (nowela)

BRONIEWSKI W.: *Wiatraki* (poezje)

CONRAD-KORZENIOWSKI J.: *Korsarz* (powieść)

IWASZKIEWICZ J.: *Księżyc wschodzący* (powieść)

LIEBERT J.: *Druga ojczyzna* (poezje)

ŁOZA WL.: *Ordery i odznaczenia Rzplitej Polskiej*

NAŁKOWSKA Z.: *Dom nad łąkami* (powieść)

SHAW B.: *Święta Joanna* (sztuka z przedmową autora)

STRUG A.: *Pokolenie Marka Świdry* (powieść)

ŻĄDAĆ WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

GEBETHNER I WOLFF

WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ,
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

P O L E C A

WYDAWNICTWA Z OSTATNICH DNI

<i>Barszczewski St.</i> —Czandu. Powieść z XXII wieku	6.—
<i>Bornsteinowa J.</i> —Zasady klasyfikacji dziesiętnej. Podręcznik bibliotekarski	4.—
<i>Brzeziński J.</i> —Hodowla warzyw. Wyd. 4	6.50
<i>Chrzanowski Ign.</i> —Romantyzm polski wobec konstytucji 3 maja (B. U. L. i M. S. 224)	0.50
<i>Dorożyńska El.</i> —Na ostatniej placówce. Dziennik z życia wsi podolskiej w latach 1917—1921, z przedmową Artura Górskiego	10.—
<i>Goetel F.</i> —Ludzkosć. Dwa opowiadania	3.50
<i>German J.</i> —Iwonka. Powieść.	6.—
<i>Grimm A. L.</i> —Powieści z tysiąca i jednej noc. Dla młodzieży. Przekład polski. Wyd. 8. z siedmioma rycinami kolorowymi i barwną okładką T. Sopoćki	7.50
<i>Henderson C. H.</i> —Nowe wychowanie („What is to be Educated”), tłumaczyła I. Moszczeńska	10.—
<i>Krasiński Z.</i> —Liryki—wzbór. Wyd. 2, znacznie powiększone (B. U. L. i M. S. 144)	0.60
<i>Lewicki A. dr. pr.</i> —Zarys historii Polski—opracował i uzupełnił Jan Friedberg (w „dodatku”: literatura historyczna). Wydanie szkolne 12	7.—
<i>Mickiewicz Adam.</i> —Liryki. Wyd. 2.(B. U. L. i M. S. 129)	0.60
<i>Malaczewski E.</i> —Tam, gdzie ostatnia świeci szubienica. Opowiadanie z dziejów tułaczki żołnierza polskiego na obczyźnie w latach wielkiej wojny (B. U. L. i M. S. 223)	0.60
<i>Boguśka C. i Niewiadomska C.</i> —Wypisy polskie na klasę pierwszą. Wyd. 18.	3.—
<i>Niewiadomska C.</i> —Drugi rok gramatyki, klasa I. Wyd. 18, przystosowane do programu M. W. R. i O. P.	0.80
<i>Ossendowski F.</i> —Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów (konno przez Azję Centralną) 10—13 tysięcy.	8.50
<i>Ostrowski J.</i> —Chorągiew na dachu. Powieść	6.50
— Sztandar na maszcie. Powieść	5.50
<i>Prus Bolesław (Al. Głowacki)</i> —Faraon. Powieść, tom I/III. Wyd. 6.	18.—
<i>Reymont W. S.</i> —Pisma. Wydanie zbiorowe zupełne, ze wstępem Adama Grzymały-Siedleckiego i portretem autora, tom XVI. Ave Patria. Wyd. 4	6.—
— Pisma. Wydanie zbiorowe zupełne, ze wstępem Adama Grzymały-Siedleckiego i portretem autora, tom XVII. Marzyciel. Wyd. 2	5.50
<i>Sienkiewicz H.</i> —Quo vadis? Powieść z czasów Nerona. Wydanie nowe broszura karton	5.—
<i>Schiller Fr.</i> —Marja Stuart. Tragedja w 5 aktach.Przekład M. Budzyńskiego. Wyd. 2. (B. U. L. i M. S. 160)	1.20
<i>Tokarz W. prof.</i> —Wysocki i noc listopadowa, z 4 il. w druku	—
<i>Hoene-Wronski.</i> —Propeudeutika mesjaniczna. Elementy filozofji absolutnej. Przełożyl z fracuskiego Paulin Chomicz	2.—

PRENUMERATA z przesyłką 6.50 złp. kwartalnie, za granicą 2 dol. — OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości 1 mm, szerokości 1 szpalty 30 groszy za tekstem; 50 groszy w tekście; drobne 5 groszy za słowo. Kolumna posiada 6 szpalt.

Zakłady Graficzne B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa, Chmielna 61. Tel. 73-46.

REDAKCJA: Ziota nr. 8, m. 5, tel. 132-82, poniedziałki, środy i piątki od godz. 16—17. ADMINISTRACJA: Świętokrzyska 30, m. 5, tel. 223-04, codziennie z wyjątkiem niedzieli i świąt, od godz. 9—13. Konto pocztowe nr. 8515.

Wydawcy: ANTONI BORMAN i M. GRYZDEWSKI
Redaktor: MIECZYSLAW GRYZDEWSKI.